

INFORMATOR POLSKI



Jesień – Zima' 2024

Madame Curie w Kopenhadze



Oferujemy profesjonalną pomoc w znalezieniu najtańszego i najszybszego połączenia do i z Polski.

Bilety promowe, lotnicze, autobusowe, kolejowe

Wycieczki indywidualne, grupowe, biznesowe, szkolne

*Hos PolenGO gør vi alt for at vise den bedste vej til Polen.
Vi skræddersyer alle rejser, om det så kun gælder transport eller hele pakken fra A-Z.
Vi har stor erfaring med grupperejser for virksomheder, foreninger og skoler, og kender
Polens muligheder godt.*

Færger til Polen, flybilletter, bus- og togbilletter

Grupperejser, firmature, studie-, sport- og skolerejser



Twoja najszybsza droga do Polski! *** Den bedste vej til Polen!



Skolegade 2B, 2500 Valby



+45 44 45 12 80



www.polengo.dk



book@polengo.dk



Na okładce: Madame Curie w Kopenhadze

Informator Polski

Kwartalnik społeczno-kulturalny
wydawany w Danii

Wydawca: Free Polish media in Denmark
www.informatorpolski.dk



Informator Polski

Tel.: +45 22 37 58 25

E-mail: patrycja.sklodowska@gmail.com

Redaktor naczelna: Patrycja Skłodowska

Kolegium redakcyjne:

Torsten Elsvor

Dominika Piłkuła

Katarzyna Laskowska

Skład i łamanie: www.iamdesigner.eu

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Anonimów nie publikujemy. Zastrzegamy sobie prawo skrótów i adiacji tekstów.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń.



Góry polskie w dydaktyce polonijnej, część 2



Wywiad z Nathalie Ostryński



„Saul” - oratorium Händla na kopenhaskiej scenie

Spis treści

Nowy Ambasador RP w Królestwie Danii	5
Wróg ludu	6
Polki na emigracji – Irlandia	13
Podróże Madame Curie	16
Pomnik „Roepiger” (Buraczanek) Gottfreda Eickhoffa	19
Museum Polakkasernen investerer i fremtiden	20
„Polskie wiersze” Torstena Elsvora	22
Jerzy Ficowski	26
Góry polskie w dydaktyce polonijnej, część II	28
„Saul” - oratorium Händla na kopenhaskiej scenie	31
Przepadł z Krotosem	34
W poszukiwaniu siebie samej	35
Józef Chełmoński – cudowne zjawisko w pejzażu naszej narodowej kultury	44
Wiśniowe tiramisu w pucharkach	48
Czczona w Bawarii, mało znana w Polsce	49
Zbrodnie wojenne w Ukrainie	53

Od redakcji

Drodzy Czytelnicy!

W tym numerze „Informatora Polskiego” witamy w Danii nową ambasador RP panią Ewę Dębską. Zamieszczamy wspomnienia nestora Polonii duńskiej, pana Adama Bielnickiego z roku 1950, kiedy to ówczesne władze nazwały go „wrogiem ludu”. Jesienią 1926 roku Maria Curie-Skłodowska odwiedziła Kopenhagę. Opis tego wydarzenia znajdzie Państwo o obecnym numerze „Informatora Polskiego”. Roman Śmigielski przeprowadził wywiad z duńską dziennikarką i pisarką Nathalie Ostrynski na temat jej książki „De Mørke Bånd” (Ciemne powiązania). „Ciemne powiązania to obraz odziedziczonej traumy i stłumionych emocji, które zostały przekazane rodzinie Nathalie od czasu jej doświadczeń podczas II wojny światowej. Ani mój dziadek, ani babcia nie mówili zbyt wiele o swoim pobycie w obozach koncentracyjnych i stalinowskim gułagu. Ojciec nie powiedział mi nic o przeszłości rodziny ani o tym, dlaczego przyjechali do Danii jako uchodźcy polityczni pod koniec lat sześćdziesiątych”. W rozmowie Leszka Wątróbskiego z dr. Eugeniuszem Bilonozko, przeczytać możecie o aktualnej sytuacji w Ukrainie. Wspominamy sylwetkę Jerzego Tadeusza Ficowskiego w 100. Rocznicę urodzin. Przedstawiamy sylwetkę Ewy Ikwanty z Irlandii, dziennikarki i działaczki polonijnej. O mało znanej w Polsce, a czczonej w Bawarii Jadwidze Jagiellonce pisze Andrzej Białas. Halina Dudzicz, przewodnicząca TKOP (Towarzystwa Krzewienia Oświaty Polskiej im. Adama Sokólskiego w Danii), pisze o drugiej części zeszłorocznego projektu zatytułowanego „Góry polskie w dydaktyce polonijnej”. Zamieszczamy „polskie wiersze” Torstena Elsvora w tłumaczeniu Romana Śmigielskiego. Eva Maria Jensen recenzuje oratorium Händla „Saul”, które było pokazywane w kopenhaskiej Operze w bieżącym sezonie.

Przyjemnej lektury!

Nowy Ambasador RP w Królestwie Danii



24 lipca 2024 r. sejmowa komisja Spraw Zagranicznych zaopiniowała pozytywnie kandydaturę Ewy Dębskiej na Ambasadora Nadzwyczajnego i Pełnomocnego Rzeczypospolitej Polskiej w Królestwie Danii.

Ewa Dębska to polska urzędniczka państwowa i dyplomatka, skandynawistka; w latach 2015-2017 ambasador RP na Łotwie.

Pracowała jako tłumacz języka duńskiego, współpracując m.in. z ambasadą Danii w Polsce (1991-1999) oraz asystentka w Katedrze Skandynawistyki Uniwersytetu Gdańskiego (1995-1996).

W 1999 przeszła do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdzie od początku związana była z problematyką europejską oraz skandynawsko-bałtycką.

W latach 1999-2003 była II i I sekretarzem w ambasadzie RP w Kopenhadze, zaś w okresie 2004-2006 pracowała w Departamencie Unii Europejskiej MSZ.

Od 2006 do 2008 sprawowała funkcję zastępczyni dyrektora Departamentu Systemu Informacji MSZ. Następnie, od 2008 do 2013 r., kierowała Wydziałem Polityczno-Ekonomicznym ambasady RP w Sztokholmie.

W latach 2013-2014 była zastępczynią dyrektora ds. Europy Północnej i Europy Środkowej w Departamencie Polityki Europejskiej MSZ.

Od 2015 do 20 grudnia 2017 pełniła misję ambasadora RP w Łotwie. Później pracowała w Departamencie Polityki Europejskiej MSZ, w grudniu 2023 zostając zastępczynią dyrektora.

Zna języki: angielski, duński i szwedzki.

Źródło: Posiedzenie sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych nr 29 w dniu 24.07.2024 r.

Wróg ludu



Adam Bielnicki

Adam Bielnicki, nestor Polonii duńskiej, ur. w grudniu 1931 r., jest absolwentem Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie studiował historię. W 1961 r. „wybrawszy wolność”, zamieszkał się w Danii. Pracował w Skandynawskich Liniach Lotniczych (SAS) jako tłumacz. W chwilach wolnych pisywał felietony dla polskiej prasy emigracyjnej, np. dla wychodzących w Londynie „Tygodnia Polskiego”, „Orla Białego” oraz dla Radia Wolna Europa. Nie uchylał się też od wygłaszania prelekcji w polonijnych środowiskach Danii. Od początku istnienia „Informatora Polskiego” tj. od 32 lat, jest stałym współpracownikiem redakcji, autorem wielu artykułów historycznych i popularnych, aktualnych felietonów z cyklu „Szarganie poprawności”.

Wielu czytelników od tych właśnie felietonów rozpoczynała lekturę „Informatora Polskiego”. Poniżej zamieszczamy jego własne przeżycia z przełomu lat 40. i 50. ubiegłego stulecia.

Dociskanie śruby docierało na Śląsk na tyle wolno, że maturzyści rocznika 1950, do których też się poniekąd zaliczam, pobierali naukę w niemal zupełnie przedwojennym systemie nauczania. Niemniej fala zła od końca roku 1948 zaczęła i do nas docierać. Oczywiście, młodych ludzi w mniejszym stopniu dotyczyły narastające trudności ekonomiczne, rugi personalne czy polowania na resztki podziemia i PSL-owskiej opozycji. Może nawet nie tyle dotkliwe, co irytujące były natomiast coraz natrętniejsze zmiany w dziedzinie nazywanej odtąd nadbudową.

Program nauczania pozostawał jeszcze ten sam, ale coraz większy nacisk kładziono na obowiązek uczestniczenia w niezliczonych „masówkach” „prasówkach”, akademiach i zebraniach wypełnionych wszechobecną, tyleż nachalną, co bzdurną propagandą. Zaś jesienią 1948 pojawił się w szkole radiowęzeł. Z rozwieszonych po klasach i korytarzach głośników natrętnie płynęła mieszanina infantylnej propagandy urozmaicana chóralnym, chropowatym zawodzeniem zwanym „pieśniami masowymi”.

Przekonany, że z głupotą, kłamstwem i brzydotą godzić się nie można, postanowiłem stanąć do jednoosobowej walki z propagandowym smakiem. Nie mając dostępu do zamkniętego w sekretariacie wzmacniacza, zabrałem się do zrywania co dostępiejszych głośników. Udało się dobrać do dwóch pierwszych z brzegu, ale gorzej było z trzymaniem języka za zębami, co z naszpikowanej szpiczlami klasy zaprowadziło mnie (10 grudnia 1948) do piwnic kozielskiej Bezpieki przy Piastowskiej 19, z popularnym wówczas oskarżeniem o sabotaż, wrogą działalność i cały szereg temu podobnych niegodziwości. Mogła z tego wyniknąć wcale długa znajomość z czerwonym systemem więziennym,

aliści uratowała mnie nadgorliwość donosicieli (dziś zwaliby się TW), głównie Tadek Przepiórki, którzy oprócz prawdziwych doniesień o mych wyczynach zbyt gorliwie zrelacjonowali fantazyjne opowiadania o „klasowo” wrogich epizodach z dziejów moich i mej rodziny.

Jakiś bardziej rozgarnięty ubek zorientował się, że moje opowiadania o dworze na Litwie, ucztach w ruinach zamkowych i polowaniach dziwnie przypominają współczesną wersję „Ostatniego zjazdu na Litwie” i dał się przekonać, że ma do czynienia z twórczością Adama M. Nie zaś Adama B. Szkoda, że mi wówczas nie przyszło do głowy, by dodać epizod z mrówkami i Telimeną, ale z racji na wiek, nikt by mi zapewne nie uwierzył... Nieco trudniej przyszło mi przekonać śledczego, że pracowicie zrelacjonowane przez TW moje historie o przygodach przemysłowych są dopasowaną do powojennych realiów wersją Kochanka wielkiej niedźwiedzicy Sergiusza Piaseckiego.

Ostatecznie jednak, po dwóch tygodniach śledztw i przesłuchań, zrezygnowany ubowiec machnął ręką, wypracowania szpiclów schował do odpowiedniej „teczki” (w tamtym urzędzie nic nie szło do kosza...), a niefortunnego naśladowcę Wieszcza przekazał zwykłej Milicji z oskarżeniem o dokonanie kradzieży. Sprawa zakończyła się symboliczną karą, jako że fala prawdziwego terroru jeszcze do Koźła nie dotarła, ale poradzono mi przyjaźnie, bym się z miasta na jakiś czas usunął. Dziesiątą klasę kończyłem zatem w Drugim Liceum męskim w Zabrzu, gdzie kozielskie przygotowanie pozwoliło mi błyszczeć przymiotami prymusa, do tego stopnia, że po raz pierwszy nawet ocenę ze sprawowania miałem „dobre”.

Wakacje roku 1949 to także moja pierwsza regularna praca. Znajomi wiedzący o moich zainteresowaniach polityką i szerokim światem polecieli mnie redaktorom Ziębie i Rakoczemu z katowickiego „Dziennika Zachodniego” i przez dwa wakacyjne miesiące byłem praktykantem w redakcji dodatku „Dziennika” pt. Sport i Wczasy. Dodajmy od razu, że bez specjalnego sukcesu. Sportowe dzielenie włosa na czworo w formie rozważań co by było, gdyby Nowak nie był „na spalonym” lub którą nogą wstał wczoraj z łóżka bramkarz Arsenalu, nigdy nie wydawało mi się wiele ważniejsze niż ilość zeszłorocznego śniegu na stadionie w Radzionkowie. Kariery dziennikarza sportowego zatem nie zrobiłem, zwłaszcza że zbliżał się koniec wakacji, a co ważniejsze, nadciągała epoka stalinowskiego zaćmienia słońca i zawód dziennikarza stał się jedną z jej pierwszych ofiar.

Niedogodności codziennych dojazdów (wstawanie o 4. rano) i przywiązanie do starej szkoły sprawiły, że jesienią 1949 powróciłem do Koźła, by tu kończyć klasę 11. i stawiać do matury. Nie był to krok zbyt rozważny, bo aczkolwiek potrafiłem trzymać się w bezpiecznej odległości od bełkotliwych głośników, to nieco trudniej przychodziło mi trzymanie języka za zębami, choć przecież można było stawiać przysłowiowe dolary przeciw orzechom, że ani UB, ani jego donosiciele (których tożsamości wtedy jeszcze nie znałem) na pierwszej, nieudanej próbie dopadnięcia wroga klasowego nie poprzestaną. Sympatii u koleżków, których „ukąsił Hegel” lub zorientowali się, gdzie można zrobić łatwą karierę, na pewno nie przysparzały mi zjadliwe komentarze do lizusowskich hołdów wobec władzy, z jakimi na wyprzódki zgłaszali się co gorliwsi aktywiści ZMR. Wspomnijmy tu propozycję Leszka Szyszkowskiego, by szkołę nazwać imieniem Koniewa, żądanie Ryśka Drożdża, by przymiotnik „socjalistyczny” pisać z dużej litery czy zwroty Wiesława Dereja, który prawił koleżankom komplementy, że są... „piękne jak kobiety radzieckie”. A pamiętać trzeba, że na koniec roku 1949 przypadło apogeum sowieckiej hysterii związanej z 70. urodzinami niejakiego Józefa Dżugaszwili, który pod pseudonimem Stalin szalał na obszarze jednej szóstej globu. Nie będę przytaczał żadnej z mych złośliwość, przycinków i komentarzy, ale klęę się na wszystkie teczki świata, że było ich multum, a ich zjadliwość wprost proporcjonalna do bezmiaru serwilizmu i lizusostwa, jaki zalał krainy między Łabą i Władystokiem. Skoro zatem klasowej czarnej owcy nie udało się zamknąć ust, nasi komsomolcy i ich ubowscy mocodawcy postanowili viribus unitis zamknąć całego wroga, i to zamknąć tym razem na dobre, choć Bogiem a prawdą - to wiele dobrego trudno się było w tym przedstawieniu dopatrzeć.

I tym to sposobem 15 lutego 1950, tuż przed studniówką, przyszło mi zamieszkać w niezbyt sympatycznym gmachu kozielskiego więzienia, położonym nb. kilkaset metrów od rodzinnego domu. Co, w porównaniu na przykład ze zsyłką na Syberię, bynajmniej nie kwalifikuje autora do statusu „męczennika za sprawę”. By zaś sprawę nieco dokładniej, sine ira et studio przedstawić, oddajmy głos aktowi oskarżenia, który przemówi do nas niepowtarzalnym językiem „ludowego oficera śledczego”.

Akt Oskarżenia

Uzasadnienie

Podejrzany Bielnicki Adam jako uczeń XI-tej klasy gimnazjum ogólnokształcącego w Koźlu a zarazem jako syn przedwojennego bogacza wiejskiego jest wrogo ustosunkowany do Polski Ludowej o czym świadczy fakt, że na terenie gimnazjum w Koźlu wśród młodzieży pochwałał publicznie faszyzm niemiecki i rozpowszechniał fałszywe wiadomości oraz poniżające i obelżywie wyrażał się o Marszałku Rokosowskim. Ponadto podejrzany Bielnicki Adam, jak stwierdzają świadkowie słuchał zawsze radia londyńskiego i te wszystkie wrogie wypowiedzi skierowane bezpośrednio p-ko Polsce Ludowej powtarzał w szkole i siał ferment i niezadowolenie oraz do szkoły przynosił z sobą gazety w języku angielskim i wychwalał ustroj państw zachodnich. W jesieni 1948r Bielnicki Adam upojony wiadomościami radia londyńskiego, publicznie wśród uczni w gimnazjum w Koźlu zbudował domek z papieru i kiedy po dmuchnięciu przez niego rozleciał się oświadczył, że Związek Radziecki jest kolosem, ale podobnie jak i to się rozsypało po dmuchnięciu tak samo i Związek Radziecki musi się rozlecieć.

POWIATOWY URZĄD
BEZPIECZEŃSTWA PUBLICZNEGO
w Katowicach
V.S.20/50

Koźle dnia, 11 maja 1950r

AKT OSKARŻENIA
p - k o s

Prokurator Sądu Apelacyjnego
w Katowicach
Dnia 13. maja 1950 r.
Akt oskarżenia zatwierdzam.
Prokurator
w/z Baraszk/
Wiceprokurator S.A.

APRESZT
1962/150

Oskarżony: Bielnicki Adam
oskarżony z art. 22 i 29 Dekr.
z dnia 13.VI.1946r.

Oskarżenia: Bielnickiego Adama s. Jerzego i
Stanisława zd. Bobrka ur. 2.I.32r
w Kielcach, zam. w Koźlu ul. Ma-
tejki nr. 7, kawalera, bez mają-
tku, karanego z art. 257 § 1 A.A
na 6 mies. aresztu w zawieszaniu
na 3 lata
tymczasowo aresztowanego od dnia
15.II.1950r /K.9/ przebywającego
w więzieniu w Koźlu

Za zgodność
Katoś, dnia 08.5.1950
Prokurator S.A.

o te, że:

I. jesienią 1948r w Koźlu, wyrażał się, że Niemcy dobrze zrobili, iż
wymordowali żydów, przez co publicznie pochwałał faszyzm.

II. w dniu 1-go lutego 50r w Koźlu rozpowszechniał fałszywe wiadomości
na temat wypraw wojskowych Armii Polskiej - mo-
wił, że w Polsce nie ma wojska, a Niemcy wygryzają się podlegając
o Marszałku Rokosowskim, obniżając w ten sposób jego powagę.

Czyn pod I stanowi przestępstwo z art. 29 Dekr. z dnia 13.VI.46r
Czyn pod II stanowi przestępstwo z art. 22 Dekr. z dnia 13.VI.46r

Na zasadzie art. 22 § 1 i art. 25 A.P.A. sprawa niniejsza podlega
rozpatrzeniu przez Sąd Apelacyjny w Katowicach.

Uzasadnienie.

Podejrzany Bielnicki Adam jako uczeń XI-tej klasy gimnaz-
jum ogólnokształcącego w Koźlu a zarazem jako syn przedwojenne-
go bogacza wiejskiego jest wrogo ustosunkowany do Polski Ludowej
o czym świadczy fakt, że na terenie gimnazjum w Koźlu wśród mło-
dzieży pochwałał publicznie faszyzm niemiecki i rozpowszechniał
fałszywe wiadomości oraz poniżające i obelżywie wyrażał się o
Marszałku Rokosowskim. Ponadto podejrzany Bielnicki Adam, jak
stwierdzają świadkowie słuchał zawsze radia londyńskiego i te
wszystkie wrogie wypowiedzi skierowane bezpośrednio p-ko Polsce
Ludowej powtarzał w szkole i siał ferment i niezadowolenie oraz
do szkoły przynosił z sobą gazety w języku angielskim i wychwa-
lał ustroj państw zachodnich. W jesieni 1948r Bielnicki Adam upojony wiadomościami ra-
dia londyńskiego, publicznie wśród uczni w gimnazjum w Koźlu
zbudował domek z papieru i kiedy po dmuchnięciu przez niego rozle-
ciał się oświadczył, że Związek Radziecki jest kolosem ale podobnie
jak i to się rozsypało po dmuchnięciu tak samo i Związek Radziecki
musi się rozlecieć. W tym samym czasie i miejscu publicznie
pochwałał faszyzm wyrażając się, że sebranych wojsk siebie uczni
ze Niemcy dobrze zrobili iż wymordowali żydów. Świadczy to wy-
bitnie o wrogiej postawie podejrzanego oraz o tym, że niedoce-
nia walki o pokój na całym świecie lecz przeciwnie jako uczeń

Akt oskarżenia

Nawet średnio rozgarnięty ubowiec musiał pojąć, że przytoczony dotąd rejestr moich reakcyjnych niegodziwości, acz mógł do łez doprowadzić prawowiernego postępowca, to niezupełnie nadawał się do prezentacji na przygotowywanym procesie pokazowym. By oskarżonego w oczach normalnych ludzi wystarczająco zohydzić, należało mu przypisać inne, niż brak miłości do Sowietów, intencje. Na taką ewentualność istniały centralnie przygotowane instrukcje, niczym średniowieczny „młot na czarownice”, przystosowane do zmieniającej się sytuacji politycznej. U początku lat pięćdziesiątych trwała przymusowa kolektywizacja, zatem nazwanie oskarżonego „synem bogacza wiejskiego” obowiązywało jak Amen w pacierzu. Nie było jeszcze Radia Wolna Europa, więc ograniczono się do zarzutu słuchania BBC. Nie wymyślono jeszcze „niemieckich rewizjonistów”, stąd brak ich na złowrogiej liście. Pozostawał uniwersalny, wymyślony ponoć w samej Moskwie i skuteczny bodaj po dzień dzisiejszy, zarzut antysemityzmu. Wprawdzie później, na czas jakiś, zastąpiło go oskarżenie o „syjonizm”, ale to temat na inne opowiadanie. A oto, jak w swej osobliwej polszczyźnie prawowierny śledczy przedstawił zdemaskowanego wroga ludu:

W tym samym czasie i miejscu publicznie pochwaliał faszyzm wyrażając się, do zebranych wokół siebie uczni że Niemcy dobrze zrobili iż wymordowali Żydów. Świadczy to wybitnie o wrogiej postawie podejrzanego oraz o tym, że nie docenia walki o pokój ma całym świecie, lecz przeciwnie jako uczeń przystępujący do egzaminu dojrzałości, świadom swych czynów pochwaliał faszyzm.

Wymieniona w tekście „walka o pokój” to jeszcze jeden serwitut ideologiczny, pseudopacyfistyczny bełkot obowiązujący każdego propagandystę w latach 50. Odfajkowawszy zatem obowiązkowe pensum, nasz autor wrócił do realiów. Oddajmy mu głos ponownie.

W miesiącu styczniu 1950 r w dalszym ciągu na terenie szkolnym rozpowszechniał fałszywe wiadomości, twierdząc z całą stanowczością, że Związek Radziecki nie jest przyjacielem Polski dowodem czego może być to, iż zagarnął nam ziemie wschodnie słusznie należące się Polsce a Polska musi wykonywać wszystkie polecenia Związku Radzieckiego. W tym samym czasie i miejscu rozpowszechniał nadal fałszywe wiadomości, mówiąc, że w państwach zachodnich jak Ameryka i Anglia jest prawdziwa wolność a nie taka jak w Polsce jest, gdzie za prawdę jest się karany W dniu 1-go lutego 1950r podejrzanym Bielnicki Adam w czasie lekcji w gimna-

zjum w Koźlu wyrażał się poniżająco o Marszałku Rokosowski w ten sposób, że w Warszawie rzekomo na jednej z ulic został zamknięty ruch, gdyż pierwszy robotnik Warszawy uczy się jeździć na rowerze i poznawać na zegarku. Wypowiedź powyższa jaskrawo tyczyła się Marszałka Rakowskiego, gdyż bezpośrednio po tych wypowiedziach wyraził się, że mamy nowego „Gauleitera” i jest nim pierwszy robotnik Warszawy Konstantin porównując ponadto Marszałka Rokowskiego do Konstantyna Wielkiego, w ten sposób, że oświadczył do zebranych, że dawniej Car do Polski wysłał namiestnika swego a obecnie został Rokosowski wysłany do Polski po to ażeby rządził Polską.

Do dziś nie jestem pewien, który z zarzucających na mnie sieci szpiclów dał powyższy popis nieuczucia miesząc rzymskiego cesarza z Konstantym Romanowem, ale przypuszczam, że było to raczej dzieło nierozgarniętego ubowca, który, jak widać z cytowanego tekstu, nie potrafił nawet poprawnie napisać nazwiska swego nowego wodza, „mianowanego Polakiem” - Konstantina Rokossowskiego.

No, ale nie wymagajmy zbyt wiele od „ludowych oficerów”!

Wydaje się, że ten ostatni fragment aktu oskarżenia stanowi jego punkt centralny. Był to główny kamień obrazy, *crimen laese maiestatis* będący też bez pośrednią przyczyną aresztowania groźnego wroga. Zwróćmy uwagę na daty: pierwszego lutego „się wyrażał”, a 15. już siedział. Natomiast akapit końcowy owego elaboratu to już tylko powtórzenia i zaklęcia obowiązkowe we wszystkich ówczesnych tekstach politycznych.

Zachowanie się podejrzanego pod względem politycznym świadczy o wybitnie wrogim nastawieniu do Polski Ludowej a oczywistym jest, że takie rozpowszechnianie fałszywych wiadomości i pochwalanie faszyzmu budziły niepokój wśród ludności oraz przez używanie obelżywych wyrażen w stosunku do Marszałka Rokowskiego obniżyły jego naczelną powagę a tym samym przez pochwalanie faszyzmu wyrządził istotną szkodę interesom Państwa Polskiego. Dodać należy, że podejrzanym Bielnicki Adam jako uczeń gimnazjum w Koźlu w 1948r skradł z gimnazjum do którego uczęszczał oraz z lokalu przyjaźni Polsko-Radzieckiej głośniki radiowe w celu przywłaszczenia za co został przez Sąd Grodzki w Koźlu skazany za powyższe przestępstwo na 6 mieś. Aresztu w zawieszeniu na 3 lata. Bielnicki Adam przesłuchany w charakterze

podejrzanego nie przyznał się do winy i głośłownie zaprzecza postawionym mu zarzutom.

Oficer Śledczy P.U.B.P. Koźle, Kurp Z. St. Sierz.

Kilku przyjaciół, którzy zapoznali się z powyższymi fragmentami mych wspomnień, wyrażało czasem przesadne uznanie dla 18-letniego aresztanta, który się ubowcowi sprzeciwił, do winy się nie przyznał i „głośłownie zaprzeczał”. Nie wymagało to jednak specjalnej dzielności, właśnie za sprawą wytrwałej i systematycznej pracy donosicieli. Wszystko załatwiała robiąca właśnie w naszych czasach medialną karierę „teczka”. Ta, którą pokazano mi na zakończenie półrocznego śledztwa, była opasłym tomem i umożliwiała zadowolonemu z siebie śledczemu zasypywać oskarżonego gradem pytań odnoszących się do najdrobniejszych szczegółów, miejsc, dat, a nawet czasem godzin... Co kto powiedział na dużej przerwie 28 listopada 1946, co po lekcjach 7 maja 1948 a co na lekcji łaciny 10 stycznia 1950...? Słowa, osoby, miejsca, terminy... Pada również czasem pytanie, czy nie warto by się, na lustracyjnej fali, do owych teczek dobrać. Można, ale po co? Jestem przekonany, że wiedza zawarta w owych szpargałach ani na jotę nie wpłynęłaby na moje samopoczucie. Wystarczy, że znamy nazwiska tych, którzy ujawnienia tożsamości w tej farsie zataić nie mogli. Śledczego ubeka, konesera polszczyzny i historii, Tadzia Przepiórki, który przejęty niczym Pawka Korczagin (sowiecki symbol donosiciela, który zadenuncjował własnych rodziców), zapewniał sąd o moim braku miłości dla ludowej władzy. Ważne jest natomiast, byśmy nie zapomnieli imion przyjaciół, których, jak wiadomo, poznaje się w biedzie. Karola Jońcę, przyszłego wykładowcę historii prawa, który natychmiast po pierwszym przesłuchaniu, nie bacząc na ryzyko, popędził do gadatliwego Adama, by go o nadciągającej burzy ostrzec. Leszka Wyrozumskiego - przyszłego prorektora UJ i sekretarza Polskiej Akademii Umiejętności, który po doświadczeniach pierwszej sowieckiej okupacji na Kresach, lepiej od innych doceniał grozę sytuacji świadków zastraszanych na kilka tygodni przed maturą, a mimo to trzymającego się dzielnie wersji „nie pamiętam”. Czy wreszcie zawadiackiego Ślązaka, Józka Musioła, który na zapelnionej sali sądowej wypalił sędziemu, że jak się zostaje wezwanym do „urzędu” to się podpisuje, co każą...

A owa mniej chwalebna część maturzystów sprzed lat sześćdziesięciu? Oślawieni Tajni Współpracownicy, pracowici jak komsomolcy z czytanek dla grzecznych dzieci wiernych towarzyszy. Czy roztrząsanie głupoty czerwonych Jamesów Bondów zdałoby się

jakiemukolwiek psu na budę? Zgódźmy się, że po roku 1989, wzorem dzielnego wojaka Szwejka lepiej spojrzeć na idiotyzmy Peerelu z wyrozumiałością należną wariatom, którzy przejęli kierownictwo zakładu.

Ponoć co poniektórzy nieźle na współpracy z naszym niedomytym Gestapo wyszli. Tadek zdał maturę *summa cum laude*, a innemu obłany egzamin uznano za zadowalający po jednym telefonie z miejskiego komitetu PZPR.

Oczywista, że tylko *relata referro*, jako że w tym czasie od kilku miesięcy żyłem na państwowym wikcie w celi numer 8 zbudowanego jeszcze przez Prusaków kozielskiego więzienia. Tyle że warunki nie były pruskie. Celę obliczoną w XIX-wiecznych Prusach na dwóch, ewentualnie czterech więźniów, zaludniało obecnie dziewięciu „wrogów”. Właśnie ich wspominam - politycznych, ponieważ niemal całe piętro było nimi wypełnione. Nie znałem warunków, jakie panowały u tzw. „złodziei”, jak sami siebie nazywali więźniowie kryminalni, czy ogólnie nie-polityczni, ale sądząc po szeregu przywilejów jakimi się cieszyli, można założyć, że zakwaterowanie mieli znośniejsze. Będąc w większości już skazanymi mogli pracować, korzystać z odwiedzin i szeregu innych, drobnych udogodnień. Polityczni byli niemal wszyscy więźniami śledczymi. Nosili własną odzież, nie mogli kontaktować się nawet z sąsiadami z celi za ścianą, nie dostawali gazet, nie mogli posiadać przyborów do pisania, a otrzymywane raz na miesiąc listy czytali w obecności tzw. „specy” politruka, który następnie nie spuszczał oka z więźnia, gdy ten korzystał z możliwości napisania kliku zdaniowej odpowiedzi zawierającej jedynie dozwolone, standardowe frazesy.

Pociechą była więzienna biblioteka, zapewne zaopatrzona przez wspomnianego „specy”. Wymiana książek odbywała się raz na miesiąc, więc zważywszy na nadmiar wolnego czasu, można było dostępnych dzieł nauczyć się na pamięć. Specjalnej ochoty po temu jednak brakło, a to z uwagi na jakość dostępnej lektury. Któż bowiem chciałby wbijać na pamięć: *Przyczynki do monistycznego pojmowania dziejów* Plechanowa, Briuski Panfilowa, *Młodą gwardię* Fadiejewa czy *Mowy towarzysza Stalina z czasu wielkiej wojny ojczyźnianej* (autor jak w tytule). Epokowe dzieło Fadiejewa było w wersji oryginalnej, więc przy pomocy kolegów znających rosyjski udało mi się opanować czytanie w cyrylicy i jakie takie porozumiewanie się w języku ojczystym stalinowego „Gauleitera Konstantina”. Nie była to jedyna zdobycz językowa, bowiem od Ślazaków, których

nigdy pośród więźniów politycznych nie brakło, przyswoiłem sobie wcale przyzwoity zasób słów i zwrotów w języku Goethego, a przy okazji również znajomość wojennych piosenek w mowie Hitlera. I jeszcze dziś, po latach mogę zaśpiewać, nawet niezbyt fałszując, hymn Legionu Condor bombardującego hiszpańskich republikanów: *Wir sind die Deutsche Legionäre, Soldaten der Nation...* lub nieco późniejszy przebój Kriegsmarine: *Heute wollen wir ein Liedlein singen... ...denn wir fahren, denn wir fahren - gegen England. Ahoj.*

Rzecz jasna, że życie za kratkami nie składało się z samych przyjemności, a owe skąpe namiastki kultury nie bardzo sobie z nudą radziły. Na szczęście (i to całkiem dosłownie) władze miały, najwyraźniej zalecone z góry, utrzymywanie stanu maksymalnej czystości, więc codzienne zmagania z potężnym „kiblem” stojącym w rogu celi oraz polowania na pojedyncze pyłki kurzu zapewniały zdrowie oraz dostarczały zajęcia i minimum ruchu. Tu bowiem dodać należy, że tak zwane „spacery” polegające na dreptaniu w kółko po więziennym dziedzińcu więźniom śledczym najwyraźniej nie przysługiwały. Czas dłuższy się niemilosierdzie, urozmaicony jedynie kilkutygodniowym pobytem w „izbie chorych”, dokąd rzucił mnie jakiś dziwaczny atak anginy, nie znany mi ani wcześniej ani potem. Przełomowym wydarzeniem stało się spotkanie z moim oficerem śledczym, który po trzech miesiącach, zapewne wielce wyętej pracy, zjawił się w więziennej rozmównicy, by mi przedstawić cytowany powyżej akt oskarżenia oraz zaproponować wgląd do akt sprawy. Zapewne zyskałem jego uznanie rezygnując z grzebania w opasłym skoroszycie. A kto i ile naprawdę donosił, wyjść miało na zbliżającej się rozprawie. Zaś do rozprawienia się z wrogiem mego formatu zaangażowano aż sąd apelacyjny z Katowic, bo i feta miała być pokazowa, tak, by jednych zastraszyć, innym zyskać nagrody, a oskarżonemu zapewnić byt na państwowym wickie najlepiej na długie lata. Oskarżenie zasadzało się na artykułach 22 i 29 wymyślonego w 1946 tzw. Małego Kodeksu Karnego przewidującego po 5 i 10 lat za: fałszywe wiadomości, poniżanie rosyjskiego marszałka i pochwalanie faszyzmu. No a sprawa tak poważna, bez rozprawy pokazowej obejść się nie mogła.

Show ruszył 10 lipca przy szczelnie wypełnionej sali ze „st.Sierż. Kurp Zygmuntem” rozpartym w pierwszym szeregu. Co jak co, ale przyznać należy, że widok z ławy oskarżonych był znakomity a wrażenia wyłącznie pozytywne, jako że po spędzeniu pół roku w ciasnej i ciemnej celi (okna więzienne w systemie

sowieckim były zawsze osłonięte tzw. „koszami”) można było się cieszyć widokiem rodziny, kolegów i „kolegów”... Przypadkowym uatrakcyjnieniem widowiska stała się zbieżność nazwisk *dramatis personarum*, bowiem sądzić miał sędzia Bieliński, oskarżał prokurator Bielecki, no a lokatora ławy oskarżonych przedstawiać już nie warto. Jak by nie pieczołowicie cały ten majufes przygotowywano, diabli efekt wzięli z przyczyn formalnych. Zapytano oskarżonego o to i owo, następnie świadek główny - Przepiórka wymamrotał z widocznym zdenerwowaniem (choć to przecież nie jemu groziły „mina. Sybir i kajdany...”.) swoją kwestię, „świadek Derej potwierdził z widocznym zaangażowaniem, że oskarżony zaiste jest wrogiem Polski „ludowej” i z grubsza rzecz biorąc, ofensywa „sił postępu” na tym się zakończyła. Pozostali świadkowie, pod okiem niezmordowanego oficera śledczego - „Kurp Zygmunta - st. sierżanta” robili, co mogli, by wyrazić to, co na koniec wypalił Józek Musioł wezwany do sędziowskiego stołu, by potwierdzić autentyczność swego podpisu na jakiejś spreparowanej przez ubeków bumadze. Nie pamiętam słów w jakich to sformułował, ale przypomniał nadrzędną zasadę tamtych czasów, że jak wzywają do „urzędu” to się podpisuje, co każą. Na tym przeblysku prawdy i odwagi la comedia okazała się finita, albowiem gdy po kilku wezwaniach woźnego przed obliczem sądu nie stawił się ostatni ze świadków: Włodek Bugła, sąd - po krótkiej naradzie skazał go na 30 złotych grzywny i tak ciekawie zapowiadającą się rozprawę zawiesił, jak się w praktyce okazało, do października. Acz przedstawienie miało swoją stronę rozrywkową, zanosilo się na cokolwiek przedłużony pobyt w lepkiem uścisku władzy. No, bo skoro sąd, i do tego apelacyjny, z taką powagą do losów państwa i całego „obozu pokoju” podchodził...

I tu przychodzi nam opisanie historii, jakie zdarzają się na przykład w amerykańskich filmach kategorii B w sytuacji, gdy autor nie wie, jak absurdalnie pokręcony dramat doprowadzić do happy endu. Oto bowiem gdy w połowie października do wznowienia rozprawy doszło i w towarzystwie jakiegoś wymiętoszonego milicjanta z pepeszą zjawiłem się przed obliczem ograniczonego w swych rozmiarach trybunału, okazało się, że w puściuteńkiej sali, poza rodzicami i urzędowym obrońcą, czekał na podsądnego nowy świadek w osobie profesora Romana Ślusarczyka. Ten, podobno wielce przed wojną zasłużony lwowski komunista, uczył nas przed kilku laty „nauki o Polsce i świecie współczesnym” i jakoś sobie niesfornego Bielnickiego upodobał, bo mimo różnic w patrzeniu na współczesność, byłem na jego

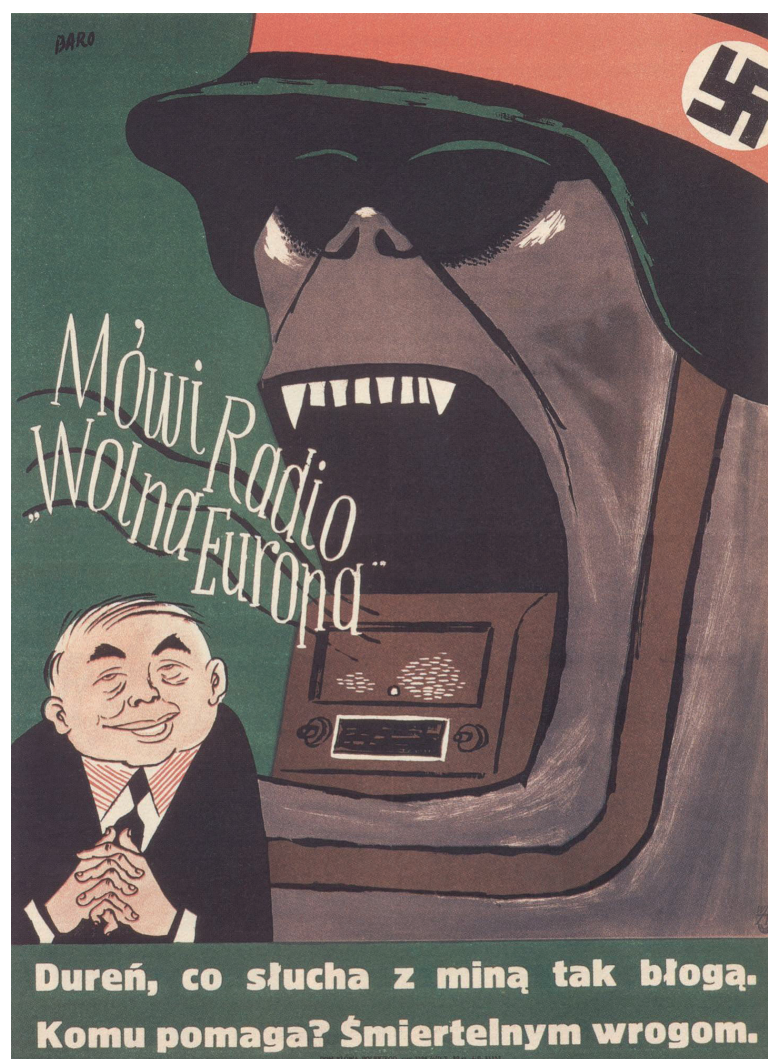
logiczne argumenty podatny, a sam przedmiot jakoś lekko mi do głowy wchodził. Obecnie, pod koniec 1950 Ślusarczyk był dyrektorem administracyjnym politechniki w Gliwicach i ponoć szarą eminencją z otoczenia generała Ziętki w katowickim Komitecie. Nigdy się nie dowiedziałem, czy za jakieś sznurki pociągał, by sprawę tak a nie inaczej prowadzono, ale samo jego wystąpienie, nie tyle w roli świadka, co obrońcy, wystarczyło sędziemu, by wyrok, o którym niżej, taki a nie inny wyferować, a co ważniejsze, móc go następnie przed zwierzchnikami usprawiedliwić. Oczywiście na wstępie spotkania dostało mi się odpowiednie pater noster, ale clou całej imprezy była nieoceniona w moim położeniu filipika pana profesora. Trudno mi dziś powtórzyć jakieś powiązane fragmenty, ale nie sposób nie pamiętać takich zwrotów jak: *Kogóż my tu dzisiaj na prawdę sądzimy, towarzysze sędziowie...? Czy tego egocentrycznego gimnazjalistę ze skłonnościami do bufonady i chęcią brylowania, czy nie przypadkiem nasze zaniedbania na odcinku młodzieżowym? Czy pamiętamy co o młodzieży mówił towarzysz Lenin? A czy z dostateczną uwagą przestudiowaliśmy „Poemat pedagogiczny” Makarenki?* Te i inne, im podobne, kwieciste akty strzeliste nowomowy nie mogły nie wywrzeć pożądanego wpływu na „towarzyszach sędziach” i przewidywane w kodeksie lata skurczyły się w ogłoszonym ekspresowo wyroku do 12 miesięcy. Zważywszy, że osiem już miałem za sobą, należało się tylko uzbroić w cierpliwość i jako rzecz Pismo „patrzeć końca”.

Onże koniec zastał mnie 15 lutego 1951 w miniaturowej próbkę Gułagu, więziennym gospodarstwie rolnym Półwieś pod Opolem, gdzie z powodzeniem urządziłem się udając elektryka. Zabawa drucikami zawsze mnie pociągała, stopnie z fizyki miewałem nie najgorsze, a jak wspomniałem, radiowęzłowe głośniki były nawet przez czas jakiś moją specjalnością. Udawanie „człowieka, który nie był sobą” stało się również moim udziałem po powrocie do świata ludzi „wolnych”. O powrocie do szkoły i zdawaniu matury trzeba było na razie zapomnieć,

a ponieważ wszelkie formy „klasy robotniczej” były w modzie, zostałem na początek kolejarem na wielkiej stacji rozrządowej Koźle-Port, a pierwszym tytułem jaki w życiu zdobyłem, był „rozrządowy - manewrowy”. Zajęcie to, dość urozmaicone i wykonywane na świeżym powietrzu dobrze byłemu więźniowi zrobiło, a ponieważ zapewniało długie okresy bezczynności, stałem się namiętnym pożeraczem książek z wcale dobrze zaopatrzonej biblioteki miejskiej.

Adam Bielnicki

[Fragment książki „Czas zaprzeszły”, nakładem autora, Kraków 2011]



POLKI NA EMIGRACJI – IRLANDIA

Kobiety odgrywają istotną rolę w szerzeniu polskości poza granicami kraju. Pełnią one kluczową rolę w przekazywaniu tradycji rodzinnych, ale także w budowaniu tożsamości polskiej w swoich rodzinach, kształtując wartości, tradycje i więzi z Polską.



*Rozmowa z Ewą Ikwanty, działaczką polonijną, przez
długie lata związaną z Centrum Together-Razem
w Cork, redaktorką naczelną magazynu
„Po Polsku”.*

Ewo, skąd pomysł na wyjazd z Polski?

Historie wielu Polaków, którzy podjęli decyzję o emigracji do Irlandii, często podążają podobnymi ścieżkami. Wielu z nas, tak jak to było w naszym przypadku, kierowała się przede wszystkim motywacjami ekonomicznymi. Brak pieniędzy był 17 lat temu głównym czynnikiem skłaniającym nas do podjęcia decyzji o wyjeździe. Najpierw wyjechał mąż, a ponieważ nie wyobrażaliśmy sobie życia na odległość po roku dołączyłam ja z dziećmi.

W czasie, kiedy my zdecydowaliśmy się na wyjazd, emigracja do Irlandii stanowiła szansę na poprawę standardu życia. My liczyliśmy również na zdobycie doświadczenia zawodowego w dynamicznym otoczeniu, a także rozwijanie umiejętności językowych.

Prawdę mówiąc zawsze chciałam mieszkać za granicą. Mieszkanie w odmiennym kulturowo kraju to okazja do zdobycia nowych perspektyw

i wzbogacenia poprzez integrację z różnorodnym społeczeństwem.

To fascynujące, że każda historia emigracyjna jest unikalna, a motywy wyjazdu różnią się w zależności od indywidualnych doświadczeń i potrzeb.

Jak myślisz, jakie są największe wyzwania i ograniczenia z jakimi borykają się polskie kobiety za granicą? Czy Polce jest łatwiej czy trudniej w odniesieniu sukcesu na obczyźnie?

W codziennym życiu w Irlandii jednym z największych wyzwań, z jakimi się borykamy, jest oczywiście bariera językowa - dotyczy to zarówno kobiet jak i mężczyzn. Nawet jeśli posiadamy pewną znajomość angielskiego przed wyjazdem to rzeczywistość w nowym otoczeniu zawsze przynosi ze sobą pewne trudności związane z komunikacją. Niewątpliwie nauka języka staje się priorytetem, aby móc sprawnie funkcjonować w społeczeństwie, znaleźć zatrudnienie i nawiązać nowe relacje.

Ponadto, życie na emigracji, zwłaszcza z dala od rodziny i przyjaciół, jest poważnym wyzwaniem emocjonalnym. W Polsce zawsze mogliśmy liczyć na wsparcie babć, cioć, wujków i bliskich znajomych, którzy zawsze byli gotowi pomóc, zwłaszcza w kwestiach związanych z opieką nad dziećmi. W Irlandii staliśmy się samodzielnymi jednostkami, zależnymi głównie od siebie nawzajem.

Kobiety, które nie pracują czują się samotne i wyobcowane, często dodatkowo zależne ekonomicznie od męża. Nie wszystkie potrafią sobie z tym poradzić, zwłaszcza jeśli w Polsce były aktywne zawodowo i niezależne finansowo.

Moim zdaniem polskie pochodzenie, niezależnie od płci, choć może nie zawsze, wpływa na nasze doświadczenia jako emigrantów. Nie jest przeszkodą czy pomocą; raczej stanowi jeden z elementów definiujących naszą tożsamość w obcym kraju. Tak jak inni emigranci, musimy stawiać czoła różnym wyzwaniom, takim jak dostosowanie dyplomów do miejscowych przepisów czy poszukiwanie możliwości praktykowania wyuczonego zawodu. To proces, który wymaga czasu, cierpliwości i determinacji.

Opowiedz z czym wiąże się Twoja działalność polonijna? Czy jesteś na bieżąco z tym co dzieje się w Polsce?

Moja praca na rzecz Polonii stanowi dla mnie nie tylko obowiązek, ale również pasję. Uwielbiam angażować się w różnorodne działania mające na celu promowanie polskiej kultury i tradycji. Wierzę, że dzięki tym wysiłkom możemy budować mosty między naszymi dwoma narodami i tworzyć atmosferę zrozumienia i szacunku.

Regularnie organizujemy spotkania, podczas których dzielimy się naszymi doświadczeniami z życia w Polsce, prezentujemy tradycyjne potrawy, a także uczymy naszych irlandzkich przyjaciół podstaw polskiego języka. Staramy się, aby te chwile były nie tylko okazją do nauki, ale także do wzajemnego zbliżenia i budowania przyjaźni.

Nie zapominamy również o naszych korzeniach, regularnie odwiedzając rodzinę w Polsce. To ważny element naszego życia, który pomaga nam utrzymać silne więzi z kulturą i tradycjami naszego kraju. Przeżywamy święta rodzinne, uczestniczymy w ważnych wydarzeniach i dzielimy się tymi doświadczeniami z naszymi irlandzkimi przyjaciółmi, tworząc tym samym unikalną atmosferę wspólnoty i zrozumienia.

Dla mnie praca na rzecz Polonii to nie tylko zachowanie polskości na co dzień, ale również budowanie mostów porozumienia między narodami. Integracja kulturowa pozwala nam czerpać z bogactwa różnorodności i wspólnie tworzyć otwartą i przyjazną przestrzeń dla wszystkich.

Bieżące wydarzenia w Polsce są dla mnie bardzo ważne. Lubię wiedzieć co dzieje się w kraju nad Wisłą, tam mieszkają moi najbliżsi i tam jest moja Ojczyzna.... Razem z mężem śledzimy informacje, uczestniczymy w dyskusjach i angażujemy się w różnorodne inicjatywy, które wspierają rozwój naszego kraju. Czujemy się związani z Polską nie tylko emocjonalnie, ale również poprzez aktywny udział w życiu społecznym i kulturalnym Polonii.

W jaki sposób powinno być przekazywane dziedzictwo kulturowe i język polski dzieciom? Czy widzisz ważność zachowania polskich tradycji w rodzinach polonijnych?

Przekazywanie tradycji jest fundamentem zaangażowania w utrzymanie polskości w obcym kraju. Moim zdaniem kluczowe zadanie ma tutaj rodzina. Podarowanie dziecku umiejętności porozumiewania się w języku ojczystym to chyba najpiękniejszy dar. To nie tylko sposób na zachowanie naszych korzeni, ale także budowanie silnych więzi z krajem, którego jesteśmy częścią.

Ważne jest również pielęgnowanie tradycji i uczestnictwo w różnorodnych wydarzeniach organizowanych przez lokalną Polonię. Dla wszystkich to szansa poczuć się częścią wspólnoty opartej na wspólnych wartościach i doświadczeniach.

Oczywiście polskie szkoły są również niezwykle wartościowymi miejscami, gdzie przekazywane są nie tylko językowe umiejętności, ale także wartości kulturowe i historyczne. Wierzę, że edukacja w polskim duchu pomaga kształtować tożsamość i świadomość kulturową młodego pokolenia, umożliwiając im zrozumienie swojego dziedzictwa i korzeni.

Przekazywanie tradycji i budowanie więzi z krajem to dla mnie nie tylko ważne zadanie, lecz także przyjemność i duma z bycia częścią wspólnoty, która czerpie siłę z zachowania swojej tożsamości w obcym kraju.

Co byś powiedziała komuś kto właśnie zastanawia się nad emigracją?

Jeśli rozważasz zmiany w swoim życiu, zalecam głębokie zastanowienie się nad nimi i po prostu poszukanie informacji w Internecie. Jak to mówią Irlandczycy „Po drugiej stronie płotu trawa jest zawsze bardziej zielona” - czyli „Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma”. Warto zatem zweryfikować swoje wyobrażenia o danym miejscu najlepiej z osobami, które już tam są i znają szarą rzeczywistość danego kraju.... Dać sobie czas na refleksję, odsunąć się od codziennego zamieszania i może chociaż na chwilę zanurzyć się w nowym otoczeniu. Często właśnie odległość i nowe doświadczenia pozwalają spojrzeć na sytuację z innej perspektywy.

Po prostu wyjeżdż na chwilę, pooddychać powietrzem innego miejsca, zanurz się w nowej atmosferze. Po powrocie, będąc bardziej świadomym i otwartym na różnorodność, podejmowanie decyzji staje się bardziej przemyślane i łatwiejsze. Życie to niepowtarzalna szansa. Ważne jest, aby z niego korzystać pełnymi garściami. Natomiast decyzje, które wywracają świat do góry nogami - a taka jest właśnie decyzja o emigracji - należy podejmować świadomie i z pełnym zrozumieniem konsekwencji.

Rozmowę przeprowadziła Teresa Sygnarek,
prezes Światowego Stowarzyszenia Mediów Polonijnych.





PODRÓŻE

MADAME CURIE

Jakub Müller na łamach swojej blisko 800-stronicowej książki „Podróże Madame Curie”, której napisanie zajęło mu 5 lat, zaprasza czytelników w fascynujące podróże z naszą noblistką do 15 krajów na czterech kontynentach. W podróże koleją, statkami i samochodami, motorem, wielbłądem, dorożką, kolejką linową i wojskową motorówką. Według autora Maria Curie-Skłodowska odbyła co najmniej 69 podróży, pokonała ponad 140 tysięcy kilometrów. Dotyczy to tylko udokumentowanych podróży, całkiem możliwe, że było ich więcej...

Martin Hans Christian Knudsen - duński fizyk. Najważniejsze osiągnięcia naukowe Knudsena dotyczą kinetyczno-molekularnej teorii gazów, szczególnie w obszarach niskich ciśnień. Z jego nazwiskiem wiążą się takie pojęcia, jak liczba Knudsena, dyfuzja Knudsena i przepływ Knudsena. Główne wyniki swoich badań zebrał w książce *The Kinetic Theory of Gases* (Londyn, 1934). Był ośmiokrotnie - bez powodzenia - nominowany do nagrody Nobla. Z jego inicjatywy Duńskie Towarzystwo Naukowe zmieniło swoje statuty i dopuściło członkostwo kobiet. W 1920 roku zagranicznym członkiem Towarzystwa została Maria Curie.

Niels Bohr - duński fizyk. Był na początku swojej kariery naukowej asystentem Martina Knudsena. W roku 1922 otrzymał nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki za „badania struktury atomów oraz emitowanego przez nie promieniowania”. Jego prace naukowe przyczyniły się do zrozumienia budowy atomu oraz rozwoju mechaniki kwantowej. W co najmniej jednym z rankingów fizyków znalazł się w pierwszej dziesiątce wszech czasów.

Ingeborg Stemmann знаła dobrze nie tylko Polskę, ale i rodzinę Skłodowskich. Jak to możliwe? Otóż, przebywała w naszym kraju od 1919 do 1926 roku. Nie była tylko bierną obserwatorką rodzącej się II Rzeczypospolitej, przysłużyła się m.in. zorganizowaniu lektoratu języków skandynawskich na Uniwersytecie Warszawskim. Na co dzień mieszkała jako sublokatorka u... Józefa Skłodowskiego, brata Marii. Stemmann wróciła do Danii w 1926 roku, gdzie była współzałożycielką Towarzystwa Duńsko-Polskiego.

Wizyta Marie Curie-Skłodowskiej w Danii nie była związana konferencją czy honorowym tytułem naukowym. Oficjalnie zaproszenie nadeszło od Duńskiego Towarzystwa Nauk Przyrodniczych, ale wiadomo było, że tak naprawdę zaprosili ją Martin Knudsen i Niels Bohr, z którymi się przyjaźniła.

10 października, w dzień po ślubie córki Ireny, Maria Curie wyruszyła pociągiem z Paryża. W Kolonii miała przesiadkę na pociąg do Hamburga i Danii. Przez Gedser dotarła do Kopenhagi 11 października o godz. 19.15. Na dworcu oczekiwał na nią komitet powitalny złożony, oprócz Knudsena i Bohra, z Ingeborg Stemmann (założycielki Towarzystwa Duńsko-Polskiego), Ernsta Kaper (burmistrza Kopenhagi), Konstantego Rozwadowskiego (ambasadora RP), Louisa Hermité (ambasadora Francji) i innych - w sumie około 30 osób.

Gdy na stację wtoczył się pociąg i tłum podróżnych wysiadł z wagonów, rozglądano się czujnie, ale nigdzie nie było śladu Madame Curie. Fotografowie i dziennikarze atakowali każdą starszą kobietę, którą można by uznać za słynną badaczkę - na próżno. Noblistka jakby rozplynęła się w powietrzu. Nie wiedziano co robić. Spanikowany burmistrz Kaper biegał w kółko z rękami przy ustach, wołając - w akcie rozpacz - na cały głos: „Madame Curi-i-i-eee!”. Może nie przyjechała? Zaalarmowano nawet policję.

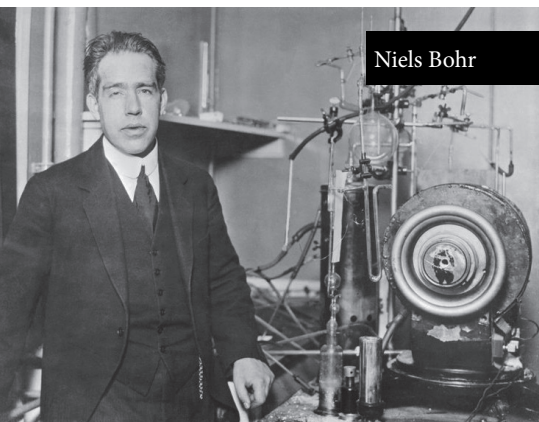
Nagle pojawił się posłaniec z informacją: „Madame Curie przebywa już w Hotelu D'Angleterre i oczekuje w apartamencie 101”. Komitet ze względu na swą liczebność został prawdopodobnie zauważony już z daleka. Dzięki temu Maria Curie mogła zająć odpowiednią pozycję i niepostrzeżenie wymknąć się do taksówki, a niepozorna sylwetka i skromny strój tylko ułatwiły jej to zadanie. Sztuka kamuflażu.

12 października przed południem Maria Curie spotkała się z Niną Bang, ministrem oświaty, a zarazem naukowcem. Bang była pierwszą na świecie kobietą-ministrem (dzisiaj napisalibyśmy: ministrami). O 15:30 rozpoczął się pierwszy z serii trzech odczytów: Odkrycie radioaktywności i jego naukowe konsekwencje. Aula Politechniki w Kopenhadze pękała w szwach. Wykład trwał godzinę i był ilustrowany przeźrocami. Prasa pisała, że odczyt był ciekawy i zrozumiały nawet dla laików. O godz. 19.00 miała miejsce wizyta w siedzibie Stowarzyszenia Studentów. W obecności 600 studentów Marię Curie powitał po francusku burmistrz Ernst Kaper, któremu nie dane było wygłosić słów powitania w dniu poprzednim na dworcu. Sala wystrojona była girlandami z żywej zieleni oraz flagami Danii, Polski i Francji. Następnie głos zabrał Niels Bohr. Odegrano Mazurkę Dąbrowskiego, Marsylianek oraz hymn Danii. Spotkanie zakończyło się po godzinie występami znanej duńskiej śpiewaczki operowej Lilly Lamprecht. O godzinie 20.00 Duńskie Towarzystwo Nauk Przyrodniczych wydało uroczystą kolację w siedzibie Królewskiego Klubu Jachtowego (Langelinie Pavillonen).

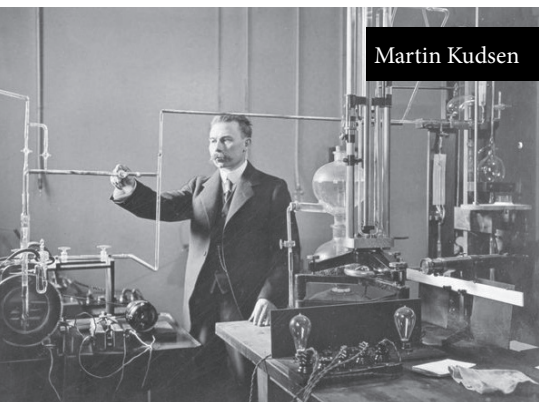
Następnego dnia planowano wycieczkę do Zamku Kronborg w Helsingør, ale prawdopodobnie została ona odwołana z powodu



Po przyjęciu w willi
Martina Knudsena



Niels Bohr



Martin Kudsén



Dworzec Główny
w Kopenhadze



Ingeborg Stemmann

złej pogody. Maria Curie odwiedziła laboratorium Nielsa Bohra i Martina Knudsena. O 15:30 rozpoczął się drugi odczyt: O stałych radioaktywności. Prasa pisała, że sala - o ile to możliwe - była jeszcze bardziej zatłoczona niż dnia poprzedniego. Maria Curie przezwyciężyła zmęczenie, przemawiała żywo, kipiała z niej energia, choć odczyt tym razem nie był przeznaczony dla laików. Wieczorem odbyło się przyjęcie w willi Martina Knudsena.

14 października Maria Curie odwiedziła stację radową w Instytucie im. Nielsa Finsena oraz siedzibę utworzonego w roku 1912 Funduszu Radowego (Radiumfondet). Tradycyjnie o 15.30 w Sali Politechniki odbył się trzeci i ostatni odczyt pt. Najnowsze badania nad promieniowaniem pierwiastków radioaktywnych. Na zakończenie Madame Curie podziękowała za zaproszenie i za możliwość bliższego zapoznania

się z duńską nauką. Wieczorem czekał na nią kolejny bankiet, tym razem u Nielsa Bohra.

W dniu wyjazdu, 15 października, Maria Curie tak podsumowała pobyt w Danii pisząc do brata Józefa:

Miałam tu w Kopenhadze doskonałe przyjęcie, jestem jednak cokolwiek zmęczona, bo program pobytu mego był dość wypełniony, a przytem byłam sama, a zwykle jestem z kimś, kto mi podróż ułatwia.

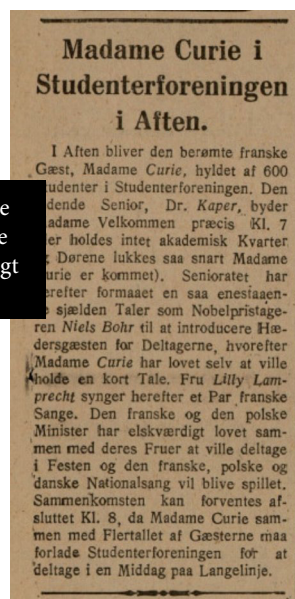
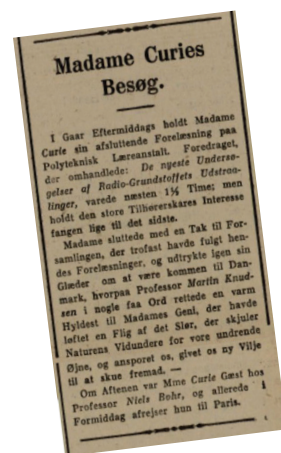
[Józef Müller „Podróże Madame Curie”, Wydawnictwo JM, rok 2024, 785 stron]

Zakup książki jest możliwy za pomocą Allegro:

<https://allegro.pl/oferta/jakub-muller-podroze-madame-curie-16194338011>



Opis wizyty Madame
Curie w Kopenhadze
w dzienniku Kristeligt
Dagblad



Pomnik „Roepiger” (Buraczanek) Gottfreda Eickhoffa

W roku 1940 w Saksøbing na wyspie Lolland postawiono pomnik „Roepiger” (Buraczanki) autorstwa duńskiego rzeźbiarza Gottfreda Eickhoffa upamiętniający polskie emigrantki, z których wiele w tamtym okresie było już ważnymi członkiniami lokalnej społeczności, w pełni z nią zintegrowanymi.

Obchody 75 rocznicy postawienia pomnika Eickhoffa odbyły się w dniach 25 - 27 listopada 2015. Punktem kulminacyjnym obchodów w dniu 27 listopada było odsłonięcie tablicy pamiątkowej poświęconej polskim emigrantkom i ich ogromnemu wkładowi w rozwój społeczności lokalnej. Odsłonięciu towarzyszyły przemówienia. Ambasador RP Henryka Mościcka-Dendys zaskoczyła wszystkich i otrzymała wielkie brawa, gdyż prawie w całości wygłosiła swe przemówienie po duńsku (a przyjechała do Danii dopiero przed 14 dniami!). Burmistrz Gminy Guldborgsund John Brædder w swoim przemówieniu przedstawił szczegółowo historię „Buraczanych dziewcząt”.

W czerwcu 2024 roku, po raz pierwszy od 84 lat tj. od powstania pomnika, dzięki sponsorom pomnik buraczanych dziewcząt został umyty za 120.000 koron.



Pomnik po umyciu



Pomnik przed umyciem

Pamiątkowa tablica
poświęcona polskim
emigrantkom



Museum Polakkasernen investerer i fremtiden

Den selvejende Institution Museum Polakkasernen har i 2024 eksisteret i 40 år, idet institutionen så dagens lys i efteråret 1984. Siden da har skiftende bestyrelser hjulpet af frivillige, med støtte fra forskellige fonde og via entreindtægter, stået for vedligehold og drift af den fredede bygning og passet det unikke museum. Det unikke museum gøres nu CO2-neutralt med luft til vand varmepumpe og solceller

Det har kostet rigtig mange arbejdstimer, bekymringer og sved på panden, når presserende vedligeholdelser stod i kø, men det er lykkedes os gennem alle årene at holde os gældfri, fortæller Torsten Elsvor, som i sin tid tog initiativ til museet og har været dets formand lige siden.

Det har først og fremmest kunnet lade sig gøre takket være stor bevågenhed fra en række danske og polske fonde, ligesom vi har modtaget donationer fra nedlagte polske foreninger på Lolland-Falster, fra en ophørt lokal beboerforening, som i sin tid

var med til at starte museet og en arv fra et af vore mangeårige medlemmer.

Senest har vi gået tilsagn fra den lokale Grøn Pulje til etablering af en overdækning ved museet som skal forsynes med solceller, og det - sammenholdt med at oliefyret er udskiftet med en luft til vand varmepumpe gør, at vi formentlig bliver det første CO2-netútrale foreningsejede museum. Det er et tigerspring ind i fremtiden, siger Torsten Elsvor.

Det bliver kulminationen på en lang række investeringer de seneste tre år for at fremtidssikre museet, som nu er ene om at fortælle historien om de flere tusinde polske roepiger og - karle, der kom til Danmark som sæsonarbejdere i perioden 1893 frem til 1929. Blandt de fonde, som har støttet museet og været med til at sikre den fredede bygning og de nye initiativer er: Varelotteriet, Lolland-Falster og Langelands Købstæders Brandsocietets Fond, Lollandsfonden, Sparekassen Rødbys Legat, Møenbogaardfonden og Slots- og Kulturstyrelsen og



altså senest Grøn Pulje. Dertil kommer en række mindre tilskud fra lokale foreninger og klubber.

Lørdag 21. juni 2024 kunne der holdes rejsegilde på pavillonen.

Pavillonen på arealet ved siden af den fredede Polakkasernen skal tjene flere formål. Dels skal den bruges, når større busgrupper kommer på besøg og dels skal den bruges ved forskellige arrangementer og udstillinger. Og så er det ønsket, at beboerne i Tågerup også får mulighed for at benytte sig af pavillonen til sammenkomster og lignende.

Ud over den løbende vedligeholdelse er der de seneste 2-3 år gennemført en række investeringer for at fremtidssikre museet:

De informative plancher i Museet har fået et facelift, og der er tilføjet nye. Polakkasernen har fået skulpturen af to roepiger som blikfang. Loftsrummet er isoleret. Varmeanlægget er optimeret, og oliefyret er udskiftet med en luft til vand Varmepumpe. Fyrrummet og toiletterne har fået en makeover. Vinduerne i stueetagen mod vest er blevet malet. Gulvet som udgør etageadskillelsen er udskiftet efter et voldsomt og ødelæggende borebilleangreb.

Der er opført et depot- og teknikskur. Der er opsat permanent overvågning, og nu er museet på Sydlolland ved at nå i mål med den overdækkede pavillon og solcellerne.

Det kan vi vist godt være bekendt, siger Torsten Elsvor, der er taknemmelig for støtten fra fonde, foreninger og private og ikke mindst for de frivillige, der passer museet og levendegør udstillingerne.

Torsten Elsvor





„POLSKIE WIERSZE” TORSTENA ELSVORA



Torsten Elsvor jest z wykształcenia dziennikarzem. Był redaktorem i zastępcą redaktora naczelnego w Folketidende. W 2014 r. przeszedł na emeryturę, ale nadal pisze i jest członkiem zarządu gazety.

Torsten Elsvor, w 1984 roku wyszedł z inicjatywą utworzenia Museum Polakkasernen (Muzeum, Izba Polska), którego celem jest m.in. utrzymanie budynku muzeum, będącego częścią dziedzictwa kulturowego wyspy Lolland, a jednocześnie samego muzeum i utrzymywanie pamięci o polskich pracownikach sezonowych, dla których budynek został pierwotnie wybudowany.

JEG SER DEM FOR MIG

Jeg ser dem for mig
med krumbøjede rygge
og smertende led
Jeg ser dem for mig
med furede hænder
og knive i hånd
blandt bunker af roer
og aftoppede grønne blade

Jeg ser dem for mig
og hører deres stemmer
de er ikke danske
Francizek, Sofia, Maria og Joseffa
De krabber sig af sted derude
fra tidlig morgen til solen går ned
og så hjem i mørket
Hjem til ingenting i ukendt land
men brødet skal på bordet

Jeg ser dem for mig
flittige, seje og stolte
De tjener til deres eget brød
og til deres kære derhjemme
men de tjener også vort land.
Nogle vender hjem og andre
kommer tilbage.
Nogle må blive her for altid
bundet af krig eller kærlighed
og bliver lidt danske i hjertet
som der bor en polak i mit.
Jeg ser dem for mig.

MAM JE PRZED OCZAMI

Mam je przed oczami
z zakrzywionymi plecami
i bolesnymi stawami
Mam je przed oczami
z pomarszczonymi rękami
w których trzymają noże
wśród przyzm buraków
i odciętych zielonych liści

Mam je przed oczami
i słyszę ich głosy
nie są duńskie
Franciszek, Zofia, Maria i Józefa
Idą polem noga za nogą
od wczesnego poranka do zachodu słońca
wracają z pracy w ciemności
Wracają do niczego w nieznanym kraju
ale muszą zarobić na chleb

Mam je przed oczami
sumienne, harde i dumne
Służą na chleb dla siebie
i dla swych bliskich w ziemi ojców
ale służą również naszemu krajowi.
Niektóre wracają do domu a inne
znowu tu przybywają.
Niektóre pozostają tu na zawsze
z powodu wojny lub miłości
i stają się trochę duńskie w sercu
tak jak w moim mieszka Polska.
Mam je przed oczami.

MOD FREMMED LAND

Hvervekontoret i Krakow
Året er 1893
Navne bliver råbt op
og navne skrevet ned
Hvor kommer vi fra?
Hvor skal vi hen?
Vi skal følge en mand
mod et fremmed land

Der er bylter af tøj
og en hvissen og snakken
de nødvendige ting
vi må bære nakken
men vores stolthed kan ingen fjerne
den er for os en ledestjerne
Vi skal følge en mand
mod et fremmed land

Så ta'r vi afsted i tog mod nord
væk fra familien – fra far og mor
Vi kommer til kysten og åbent vand
langt borte vi skimter en strimmel land
Dampskibet Freya skal bringe os over
Mon alle nu holder det, de lover?

Så rykker vi sammen i flokke små
og enes om at det nok skal gå

Snart når vi det forjættede land
med lovning om guld og grønne skove
der skal arbejdes lige så hårdt vi kan
fra tidlig morgen til vi skal sove
Så drømmer vi om dem derhjemme
med længsel, kærlighed og varme
i troen finder vi vores styrke
Gud holder os i sine arme

Nu står roerne i lange rækker
der hakkes og luges på livet løs
med kortskaftet hakke og ømme rygge
mellem solopgang og solnedgangs lys
At arbejde hårdt og arbejde hurtigt
skal til for at tjene det daglige brød
og gør jeg det rigtigt
lider de derhjemme - heller ingen nød

DO OBCEJ ZIEMI

Biuro rekrutacyjne w Krakowie
Jest rok 1893
Nazwiska są wywoływane
i nazwiska są zapisywane
Skąd pochodzimy?
Dokąd się udajemy?
Będziemy przeniesieni
Do obcej ziemi

Są worki ubrań
szepty i rozmowy
najpotrzebniejsze rzeczy
musimy schylić głowy
ale nie odbiorą nam honoru
nie ma dla nas lepszego wzoru
Będziemy przeniesieni
Do obcej ziemi

Pociąg rusza tam gdzie statki
z dala od rodziny - od ojca i matki
Docieramy do wielkiej wody brzegu
w oddali widać pas lądu w szeregu
Żeglujemy na drugą stronę Parowcem Freya
Czy wszyscy danego słowa dotrzymają?

W grupkach ściśnięci, małych możliwie,
idziemy zgodni - będzie szczęśliwie

Niedługo będziemy w obiecanej ziemi
z obietnicami o złocie i zielonych borach
musimy ciężko pracować, jak tylko możemy
od wczesnego rana aż gdy przyjdzie snu pora
Wtedy śnimy o rodzinie w domu
z tęsknotą, miłością, dobrymi myślami
w wierze odnajdujemy naszą siłę
a Bóg Wszechpotężny wtedy jest z nami

Buraki stoją w długich rzędach
motyką odchwaszczamy i siekamy
schyleni i z obolałymi plecami
od wschodu słońca zachodu czekamy
Pracować trzeba ciężko i szybko
aby zarobić na chleb powszedni
a jeśli robisz to tak jak trzeba
w domu rodzinnym nie są już biedni

HVIS MIT HJERTE KUNNE TALE

Hvis mit hjerte kunne tale
talte det på polsk
Det ville tale varmt om det polske folk
om landets og folkets lidelser
gennem en mere end 1000-årig historie
om storhed og stolthed
Om overlevelse og flid
Om krig og kærlighed
Om venskaber og tro
Om fred

Hvis mit hjerte kunne tale
ville det være i tvivl
I tvivl om, hvorvidt jeg
var mere polsk end dansk
eller begge dele
I mine drømme kan jeg
være på vandring gennem
Polens historie blandt
konger og præsidenter
men altid som arbejder
i sandhedens tjeneste

Hvis mit hjerte kunne tale
ville jeg for evigt være et
med det polske folk
være fortaler for fred og frihed
Mit hjerte er delt
men ikke splittet
Mine tanker er hvide
mit blod er rødt
præcis som i vore nationale flag
de vil vaje i evighed
som symbol på venskab
Hvis mit hjerte kunne tale

Torsten Elsvor

GDYBY MOJE SERCE MOGŁO MÓWIĆ

Gdyby moje serce mogło mówić
mówiłoby po polsku
Mówiłoby ciepło o Polakach
o cierpieniach kraju i Narodu
w trakcie ponad 1000-letniej historii
o wielkości i dumie
O przetrwaniu i pracowitości
O wojnie i miłości
O przyjaźniach i wierze
O pokoju

Gdyby moje serce mogło mówić
byłoby w rozterce
w rozterce czy ja
jestem bardziej Polakiem czy Duńczykiem
czy też jednym i drugim
W moich snach mogę
wędrować poprzez
historię Polski wśród
króli i prezydentów
ale zawsze działając
w służbie prawdy

Gdyby moje serce mogło mówić
byłbym na zawsze zjednoczonym
z Narodem polskim
orędownikiem pokoju i wolności
Moje serce jest podzielone
ale nie złamane
Mam białe myśli
i czerwoną krew
dokładnie jak nasze flagi narodowe
które wiecznie będą powiewać
jako symbol przyjaźni
Gdyby moje serce mogło mówić.....

Tłumaczenie Roman Śmigielski

JERZY FICOWSKI



Jerzy Tadeusz Ficowski (ur. 4 września 1924 w Warszawie, zm. 9 maja 2006 tamże) - polski poeta, eseista, autor tekstów piosenek, prozaik, tłumacz (z hiszpańskiego, romskiego, rosyjskiego, niemieckiego, włoskiego, francuskiego, rumuńskiego i jidysz), żołnierz Armii Krajowej (ps. „Wrak”), uczestnik powstania warszawskiego, znawca folkloru żydowskiego i cygańskiego, badacz twórczości Brunona Schulza.

Podczas II wojny światowej mieszkał we Włochach pod Warszawą. Uczęszczał na tajne kursy Gimnazjum im. Jana Zamoyskiego w Warszawie. Był więźniem Pawiaka (1943). W powstaniu warszawskim walczył jako żołnierz pułku AK „Baszta” na Mokotowie. Studiował filozofię i socjologię na UW.

Debiutował w 1948 tomikiem *Ołowiani żołnierze*. W latach 1948–1950 wędrował razem z taborem cygańskim, był członkiem angielskiego stowarzyszenia Gypsy Lore Society. Przełożył i opublikował pieśni cygańskiej poetki Papuszy. Był znawcą ludowej poezji żydowskiej (opublikowanej w tomie *Rodzynki z migdałami*, 1964), specjalizował się także w poezji i tłumaczeniach Federico Garcii Lorki. Przetłumaczył wiersze młodego Bolesława Leśmiana z języka rosyjskiego na polski (*Pochmiel książęcowy: wiersze rosyjskie*, Czytelnik, 1987).

Zafascynowany twórczością Brunona Schulza próbował w 1942 nawiązać korespondencję z autorem. Dowiedziawszy się o śmierci Schulza, postanowił zająć się badaniem jego twórczości, a także dokumentowaniem pozostałych po nim rękopisów, listów, rysunków i innych pamiątek. Wydane przez Ficowskiego książki *Regiony wielkiej herezji* oraz *Okolice sklepów cynamonowych* do dziś pozostają

fundamentalnymi pracami literaturoznawczymi i bezcennym źródłem informacji.

Od 1960 roku pisał też teksty piosenek, które zyskały popularność. Śpiewali je m.in. tacy artyści, jak: Katarzyna Boveri, Michaj Burano, Dżamble, Anna German, Kalina Jędrusik, Stanisław Jopek, Herbert Renn, Waldemar Kocoń, Stenia Kozłowska, Jolanta Kubicka, Halina Kunicka, Kwartet Warszawski, Masio Sylwester Kwiek, Maryla Lerch, Aneta Łastik, Halina Łukomska, Państwowy Zespół Ludowy Pieśni i Tańca „Mazowsze”, Jerzy Michotek, Regina Pisarek, Ewa Podleś, Jerzy Połomski, Jadwiga Prolińska, Sława Przybylska, Randia, Maryla Rodowicz, Rena Rolska, Hanna Rumowska, Irena Santor, Jarema Stępowski, Mieczysław Wojnicki.

Na Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie otrzymał II nagrodę za piosenkę *Woziwoda* (1961) i III nagrodę za *Jadą wozy kolorowe* (1970), a na Krajowym Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu zdobył wyróżnienie za Balladę cygańską (1963), a także nagrodę TVP (1970) za *Jadą wozy kolorowe*. Za ten ostatni utwór został też nagrodzony przez czytelników „Głosu Wybrzeża” (1970).

Wydano płytę z jego utworami dla najmłodszych i muzyką Władysława Słowińskiego *Dom*, w którym śmiesz – wiersze dla dzieci (LP, Muza SXL-1173), na której można usłyszeć: Janusza Zakrzeńskiego, Wienicysława Glińskiego, Lecha Ordona, Mirosławę Krajewską, Włodzimierza Pressa, Ewę Żukowską.

Jego najstarsza twórczość powstawała pod wpływem wierszy Juliana Tuwima, później jednak nawiązywał do awangardy okresu międzywojennego, groteski i elementów świata fantastycznej baśni. Następnie

w jego poezji wyraźniejsze stały się refleksyjne wątki moralno-społeczne.

W 1977 dostał nagrodę polskiego Pen Clubu. Gdy w 1975 podpisał list 59, został objęty zakazem druku do 1980. Członek KOR i KSS „KOR”.

Był członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Był dwukrotnie żonaty. Pierwszą żoną poety była malarka Wanda Ficowska, drugą Elżbieta Ficowska (ślub w 1968). Miał trzy córki: Krystynę, Magdalenę i Annę.

Został odznaczony Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski w 2004 roku. W 2005 roku został uhonorowany Nagrodą specjalną „Literatury na Świecie” za całokształt dorobku translatorskiego.

Pochowany w Alei Zasłużonych na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie.

Jadą wozy kolorowe

*Jadą wozy kolorowe taborami
Jadą wozy kolorowe wieczorami
Może z liści spadających im powróży
Wiatr cygański wierny kompan ich podróży
Zanim ślady wasze mgła mi pozasnuwa
Odpowiedzcie mi Cyganie jak tam u was jest*

*U nas wiele i niewiele bo w sam raz
U nas czerwień, u nas zieleń, cieni blask
U nas błękit, u nas fiolet, u nas dole i niedole
Ale zawsze kolorowo jest wśród nas*

*Jadą wozy kolorowe taborami
Ej, Cyganie, tak bym chciała jechać z wami
Będę sobie mieszkać kątem przy muzyce
Będę słuchać opowieści starych skrzypiec
Ciepłym wiatrem wam podszyję stare płótno
Co mi dacie, żeby już nie było smutno mi?*

*Damy wiele i niewiele bo w sam raz
Damy czerwień, damy zieleń, cieni blask
Damy błękit, damy fiolet, damy dole i niedole
Ale będzie kolorowo pośród nas*

*No i pojechałam z nimi na kraj świata
Wiatr warkocze mi rozplatał i zaplatał
I zbierałam dzikie trefle, leśne piki
I bywałam gdzie rodziły się muzyki
I odwiedzam z Cyganami chmurne kraje
I kolory szarym ludziom darmo daje dziś*

Jerzy Ficowski





GÓRY POLSKIE W DYDAKTYCE POLONIJNEJ, CZĘŚĆ II

7 października 2023 r. w ramach trwającego projektu Góry polskie w dydaktyce polonijnej Towarzystwo Krzewienia Oświaty i Kultury Polskiej im. A. Sokólskiego w Danii zorganizowało spotkanie autorskie z pisarką Beatą Sabałą-Zielińską, autorką książek związanych z tematyką górską i ratownictwem, oraz warsztaty komiksowe oparte na „Przygodach Koziołka Matołka” Kornela Makuszyńskiego.

Tak więc dwa nazwiska związane z Zakopanem wyznaczyły w październiku kierunek oświatowej działalności Towarzystwa. Beata Sabała-Zielińska osobiście zabrała głos w projekcie, natomiast w imieniu Kornela Makuszyńskiego wypowiedziała

się artystycznie rysowniczka Zofia Żelazny, a z nią polonijna społeczność.

Skąd ten wybór? Cóż, postać naszego słynnego koziołka i fascynacja Zakopanem twórcy tego wdzięcznego bohatera a zarazem autora pierwszego polskiego komiksu: „Przygód Koziołka Matołka”, wydała nam się i słusznie, jak się okazało, atrakcyjna dla najmłodszej części naszych beneficjentów.

Natomiast temat bezpiecznej turystyki, ratownictwa górskiego, historii i działalności Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego (TOPR-u) tak prosto i przyjaźnie opisanej w książce Beaty Sabały-Zielińskiej pod tytułem „TOPR Tatrzańska przygoda Zosi i Franka” ujął nas swoją aktualnością i użytecznością.

Płaszczyzną wspólną komiksu K. Makuszyńskiego i opowieści B. Sabały-Zielińskiej były motywy, które z łatwością dało się wykorzystać i wydobyć w trakcie projektu. Fabuła obydwu tych pozycji osnuta została bowiem wokół przygody i podróży. Z jednej strony Koziołek Matołek, popadający co rusz w tarapaty w czasie wędrówki do Pacanowa, przemierzający



po drodze wyjątkowe miejsca w Polsce jak i odległe zakątki świata. Z drugiej strony bohaterowie opowieści B. Sabały-Zielińskiej, cepry z Warszawy, jak określają przyjezdnych górale, eksplorujący polskie Tatry i oczywiście TOPR i jego pracownicy w brawurowych akcjach ratujących zdrowie i życie turystów.

„NIE TAKIE TATRY PRZYJAZNE, JAK SIĘ CEPROM WYDAJE”

przekonywała duńską Polonię na spotkaniu w Kopenhadze Beata Sabała-Zielińska, rodowita góralka, dziennikarka, związana przez 12 lat z Radiem ZET, redaktor naczelna magazynu "Polski Region Pieniny", wykładowca na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, współtwórca internetowego radia studentów UJ, a przede wszystkim miłośniczka polskich gór i autorka książek związanych z tematyką górską i ratownictwem.



Beata Sabała-Zielińska przyjechała do nas, na zaproszenie Towarzystwa, prosto z Zakopanego by barwnie opowiadać o Tatrach, Podhalu, góralszczyźnie, o ratownictwie górskim, TOPR-ze, lawinach, świstakach, niedźwiedziach, psach-bohaterach, no i o nierozsądnych turystach.

Spotkaniu towarzyszył pokaz zdjęć i filmów z prawdziwych akcji ratowniczych TOPR-u. Ta część wydarzenia zahipnotyzowała polonijną widownię. Można było podziwiać ratowników TOPR-u i ich brawurowe, czasami niebezpieczne akcje filmowane ze śmigłowca Sokół. Można było śledzić najtrudniejsze działania ratownicze, kiedy samolot podchodził bardzo blisko górskiej ściany, czy akcję, gdzie ratownik i ranny turysta przenoszeni byli linami pod śmigłowcem.

„PRZYGODY KOZIOŁKA MATOŁKA W KREACJI POLONIJNYCH UCZNIÓW”

Pani Zofia Żelazny uzdolniona, nagradzana rysownicza, poprowadziła komiksowe warsztaty dla dzieci, opierając koncept swoich zajęć właśnie na przygodzie. Zaprosiła najmłodszych do świata Koziołka Matołka, poddając pomysł historii, której sercem stał się oczywiście nasz sympatyczny Matołek.

Temat i fabułę pełną, bez wątpienia, nieoczekiwanych przygód stworzyły już dzieci. Niektóre zadbały o odpowiednią dawkę emocji, napięcia i zaskoczenia, wysyłając swojego bohatera kosmos. Niektóre wybrały dalekie krainy, acz położone w odległości liczonej w kilometrach, a nie w latach świetlnych. Mowa tu o oddalonej Antarktydzie, Laponii, a może Grenlandii? Inne osadziły historię bardziej lokalnie, na przykład u babci, w czasie Bożego Narodzenia.

Niektóre w górach, gdzie włożyły narty na nogi Matołka, który dodatkowo musiał mierzyć się z niebezpiecznym niedźwiedziem.

Byli też tacy, a było ich sporo, którzy zadbali, by Matołek trafił do szkoły. Rola edukacji, jak zauważyli najmłodsi w swoich komiksach, jest sprawą fundamentalną. Wątek ten niewątpliwie ucieszył nas, organizatorów.

Nie mogliśmy oczywiście pozwolić, by ten polski obieżyświat, szukając swego Pacanowa, nie zasięgnął języka w Danii. Pan Łukasz Szozda przedstawił publiczności swoją, rysunkową wersję tej wizyty.



Nasz Matołek dumał, myślał,
Po czym wpadł na pomysł taki:
Że Pacanów znajdzie przecie
Każde polskie w Danii dziecię.



Czas odwiedzić pora przysła
Andersena kraj przestawny,
Bo wiadomo Ci kolego,
Że to kraj słynący z Lego.



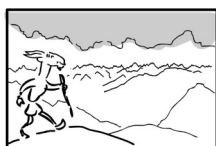
Dzieci mówić nic nie chciały.
Do Syrenki go zabrały,
Więc zapytał nasz koziołek,
Sławny polski nasz Matołek:



„Proszę Pani, tu wciąż pada,
A ja szukam Pacanowa,
Niech mi zdradzi panienczka,
Jak dojadę do miasteczka.”



A Syrenka nań zerknęła
I tak cicho mu powiada:
„Moja rada,” proszę Pana,
Do królowej trzeba z rana.”



Od Królowej zaś usłyszał:
„Niech Cię wiodą dobre wiatry.
Zaprowadzą Cię kochany,
W wasze polskie, piękne Tatry.”

Warsztaty z tworzenia komiksów, w naszym odczuciu i w opinii uczestników, okazały się sukcesem, zważywszy, iż nasi młodzi twórcy mieli do dyspozycji tylko półtorej godziny. W tym krótkim czasie zapoznali się z fragmentem historii, wymyślili fabułę, narysowali serię obrazów, tzw. paneli. Zaangażowanie uczestników, pasja, profesjonalizm prowadzącej zagwarantowały dzieciom nie tylko frajdę z tworzenia komiksów pod czujnym okiem pani Zosi, ale również skłoniły do lektury całości

opowieści o najsłynniejszym polskim kozle. I oto właśnie chodziło

Natomiast spotkanie autorskie z Beatą. Sabałą-Zielińską wyposażyło dzieci i młodzież w wiedzę dotyczącą ratownictwa górskiego oraz bezpiecznej turystyki. Dzięki profesjonalnym zdjęciom, zaprezentowanym przez autorkę książki, uczestnicy zostali przeniesieni w urokliwe zakątki polskich Tatr, gdzie mogli cieszyć się pięknem górskiej przyrody i zapierającymi dech w piersi widokami. Na koniec spotkania B. Sabała-Zielińska serdecznie dedykowała i podpisywała swoje książki, co sprawiło zebrałym wiele radości.

Integralną część spotkania z autorką książki i warsztatów komiksowych stanowiły konkursy kulinarne i poczęstunek. Rywalizacja na najlepszą szarlotkę z górskiego schroniska oraz smalec ze skwar-kami w doborowym towarzystwie uatrakcyjniły niewątpliwie ten dzień. Gratulujemy zwycięzcom konkursu! Najlepszą szarlotkę upiekła Pani Dorota Soińska. Najsmaczniejszy smalec przy „akompaniamencie” kiszonych ogórków zaserwowała Pani Ewa Bednarczyk. Nad całością konkursu i poczęstunkiem czuwała niezastąpiona działaczka polonij-na Pani Regina Leszkowicz. O wsparcie finansowe projektu zadbała Ambasada RP w Kopenhadze.

Halina Dudzicz

Autorka i koordynatorka przedsięwzięcia, przewodnicząca Towarzystwa Krzewienia Oświaty i Kultury Polskiej im. A. Sokólskiego w Danii.

Autor zdjęć: R. Zieliński



„Saul” - oratorium Händla na kopenhaskiej scenie

Raz w roku kopenhaska Opera pozwala publiczności delektować się prawdziwym przysmakiem: barokową operą z udziałem wspaniałego zespołu Concerto Copenhagen. Tym razem był to niecodzienny spektakl, „kupiony” (łącznie z wykonawcą tytułowej roli i wszystkimi rekwizytami) od festiwalu w Glyndebourne (Anglia), który miał premierę w roku 2015 i od tego czasu gościł na wielu scenach.

Dlaczego „Saul”? Bo to wspaniała muzyka, a historia jest na tyle dramatyczna, że Händel mógłby ją napisać jako operę, odpowiada reżyser. Ale nie napisał, bo gatunki: oratorium i opera różnią się w zasadniczy sposób. Händel komponował opery do tekstów włoskich, dominują w nich arie da capo, z kontrastującą częścią środkową i z powtórzeniem części początkowej dającej możliwość improwizacji i wirtuozostwa wykonawcy. Oratoria natomiast pisane są do angielskiego tekstu z dominującą rolą chórów. Arie są tu krótkie, bez powtórki, a orkiestra odgrywa większą rolę, niż w operach. Być może te

właśnie cechy czynią „Saula” bardziej „przystępnym” dla współczesnej publiczności.

Spektakl stworzył bardzo dziś sławny Barrie Kosky (z pochodzenia Australijczyk) i w swej aranżacji barokowego oratorium „poszedł na całość”, dodał masę rekwizytów i ruchu na scenie, tworząc dwie kontrastujące części, nadając jednocześnie spektaklowi aktualność (głównie w części drugiej, „wojennej”), która wydaje się być większa dzisiaj, w roku 2024, niż w roku 2015, kiedy pokazano oratorium po raz pierwszy.

W miarę skomplikowana historia ze Starego Testamentu dotyczy panowania króla Izraelitów Saula i jego następcy, Dawida. Obfituje w dramatyczne elementy zazdrości, zdrady, obłąkania, miłości, wojny i tryumfu. Saul jest już starszym człowiekiem, kiedy na horyzoncie pojawia się młody Dawid, zwycięzca Goliata i ulubieniec ludu. Szarpany

uczuciem zazdrości Saul, który początkowo gotów jest młodzianowi dać rękę swej córki, intryguje przeciw Dawidowi każąc synowi Jonatanowi zabić go. Ale Jonatan pozostaje wierny Dawidowi, którego uważa za przyjaciela. Saul uniewinnia więc Dawida. Kiedy Saul w krótkim czasie potem popada w głęboką depresję, Dawid usiłuje go uzdrowić grając na harfie. Wybuchła wojna, w wielkiej bitwie ginie zarówno Saul jak i Jonatan. Dawid zostaje okrzyknięty nowym królem i wyrusza na czele wojska na wojnę.

Kosky dzieli akcję na dwie części, dwa kontrastujące ze sobą obrazy: w pierwszej części na scenie dominuje wielka natura morte w barokowym stylu: uczta z uginającymi się od mnóstwa jadła stolami. Druga natomiast część ma charakter żałobny, początkowo w prawie całkowitej ciemności, gdzie na scenie pali się 600 świec (prawdziwych), które chór zbiera potem w wielkie kosze, gasząc każdą z osobna, następnie na pustkowiu, w krajobrazie „po wojnie”.

Kreacje solistów: kontratenor Morten Grove Frandsen (Dawid), baryton Christopher Purves (Saul), tenor Benjamin Hulet (Jonatan), sopra-

ny Clara Cecilie Thomsen i Mirjam Mesak (córci Saula), były absolutnie wybitne.

Jednakże najbardziej godny podziwu był chór: nie tylko śpiewał trudne partie w zawrotnym tempie (co od czasu do czasu powodowało pewne nieścisłości, zwłaszcza we fragmentach fugowanych), ale również tańczył, skakał, turlał się po scenie, i bez przerwy rytmicznie gestykulował. W ruchach wtórowało mu sześcioro tancerzy. Wszystko to czyniło spektakl (zwłaszcza w pierwszej części) bardzo atrakcyjnym.

Nie wyglądało na to, by ktokolwiek się nudził, nawet para królewska, której wizyta w tej instytucji była nie lada rewelacją. Bo o ile królowa Małgorzata (która abdykowała w styczniu tego roku) była tu częstym gościem, o tyle następca tronu znany był ze swych preferencji muzyki rockowej i wyczynów sportowych. Teraz najwyraźniej czyni wiele, by poprawić swój image w społeczeństwie.

Eva Maria Jensen

Zdjęcia: Miklos Szabo





PRZEPADŁ Z KROTOSEM

rysunki współpracującego z „Informatorem Polskim” rysownika z Gliwic
p. TADEUSZA KROTOSA



W poszukiwaniu siebie samej

Wywiad z dziennikarką, była redaktorką ds. kultury w dzienniku Berlingske, Nathalie Ostrynski, o jej książce „De Mørke Bånd” (Ciemne powiązania)



Chciałbym zacząć od pytania o tytuł książki „De Mørke Bånd”. Gdybym nie wiedział lepiej, pomyślałabym, że książka należy do gatunku skandynawskiego noir, czyli gatunku w obrębie kryminału i thrilleru, który powstał w latach 90. Czy możesz wyjaśnić, o jakich „ciemnych powiązaniach” piszesz?

„Ciemne powiązania to obraz odziedziczonej traumy i stłumionych emocji, które zostały przekazane mojej rodzinie od czasu jej doświadczeń podczas II wojny światowej. Ani mój dziadek, ani babcia nie mówili zbyt wiele o swoim pobycie w obozach koncentracyjnych i stalinowskim gułagu. Ojciec nie powiedział mi nic o przeszłości rodziny ani o tym, dlaczego przyjechali do Danii jako uchodźcy polityczni pod koniec lat sześćdziesiątych. Ta cisza jest także mroczną więzią. Zaakceptowałam, że to wszystko jest i będzie częścią mnie. Dziedziczysz wiele po swojej rodzinie – łącznie z mrocznymi rozdziałami historii rodziny. A dla mnie jest to coś, co mnie ciągnie i szarpie. I jest to więź, której nie można rozerwać”.

Twoja książka obraca się wokół tożsamości - dlaczego?

„Jako osoba urodzona w Danii, ale mająca polskich rodziców, przez całe życie miałam podzieloną tożsamość pomiędzy tym, co polskie i tym co duńskie, co zawsze stawiało mnie w sytuacji obserwacyjnej. Nigdy nie byłam tak naprawdę dumna ze swojego polskiego pochodzenia, ponieważ dorastałam w prowincjonalnym miasteczku we wschodniej

Jutlandii, gdzie chciałam po prostu być taka, jak wszystkie inne duńskie dzieci. Kiedy próbujesz uciec od ważnej części swojego pochodzenia, tworzy to wewnętrzną falę. Moja książka jest próbą poskładania historii mojej rodziny i pogodzenia się z nią. Jednym z osobistych odkryć, których dokonałam podczas pracy nad książką, jest to, że w rodzinie mojego ojca również istniała rozdwojenie tożsamości pomiędzy tożsamością żydowską i polską”.

W psychologii pojęcie tożsamości powstaje w powiązaniu z dwiema najważniejszymi dla człowieka relacjami: relacją z samym sobą oraz relacją z innymi ludźmi, a więc także z kulturą i tradycją. Jak widzisz to w odniesieniu do swojej historii?

„Stajesz się bardzo świadomy siebie, kiedy masz podwójną tożsamość. Twój radar staje się niezwykle rejestrujący i czuły. Rzadko opuszczasz ramiona, ponieważ stale obserwujesz, jak radzą sobie inni. Bardzo pragnęłam być częścią określonej kultury i tradycji. Bardzo zależało mi na tym, aby stać się Dunką do granic możliwości. Chciałam się zasymilować i adoptować dlatego wszystko, co duńskie. przyjąłam język duński. Ale robiłam to, wiedząc jednocześnie, że jest pewna część mnie, która nigdy nie stanie się w pełni duńska. Dla człowieka nie jest zdrowo żyć bez historii. Człowiek musi stać na jakiejś podstawie. A nie kręcić się bez wytchnienia w wodzie. Czasami pragnęłam dotknąć dna. Chciałam móc bezpiecznie postawić na nim stopy”.

Dla mnie, jako czytelnika, paradoksem jest to, że jako mała dziewczynka z jednej strony szukałaś siebie, a z drugiej próbowałaś od siebie uciec. Czy trudno było wtedy być Nathalie?

„Z pewnością znajdowanie się w takiej sytuacji sprawiało mi pewne wewnętrzne trudności w całym moim wychowaniu. Dorastałam z kochającymi rodzicami i byłam grzeczną, ciekawską uczennicą. Ale zmagalam się z „różnością” wewnątrznie i nie dzieliłam się nią z nikim. Sama doświadczyłam, że znajdowałam się z dala od innych dzieci, ponieważ byłam bardziej zajęta ich obserwowaniem niż uczestniczeniem. Musiałam zrozumieć pewne kodeksy społeczne, a także całą duńską kulturę, której w naturalny sposób nie wyniosłam z domu. Tego się musiałam nauczyć”.

Czy Twoja książka jest rodzajem „coming outu”?

„Nie wiem, czy to właściwe określenie. W każdym

rodziców, stajesz się osobą bardziej wyrozumiałą i otwartą”.

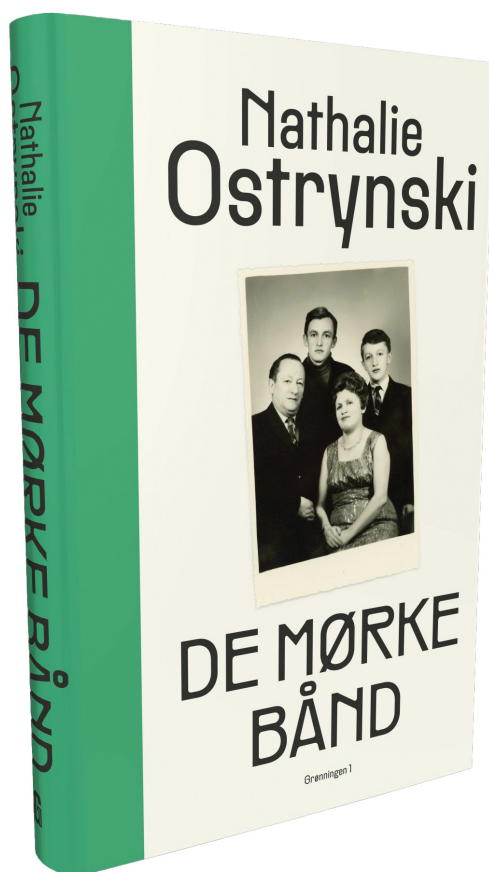
W jaki sposób praca nad książką otworzyła ci oczy?

„Kiedy układasz puzzle własnej historii, ostateczny motyw wyraźnie powstaje przed twoimi oczami. Nawet jeśli, tak jak w moim przypadku, brakuje części elementów, bo zaginęły ona wraz z moimi dziadkami. Nagle pojawiły się rzeczy, które zrozumiałem znacznie lepiej. Na przykład milczenie i depresyjny charakter mojego ojca były czymś, z czym naprawdę walczyłam jako dziecko - aby do niego dotrzeć. Teraz wiem, skąd to się wzięło i rozumiem ten ból”.

Widzę w twojej książce pewne efekty filmowe. Najpierw kamera skupia się na zbliżeniach na małej Nathalie, potem kamera cofa się i możemy zobaczyć Twoje otoczenie, Twoją rodzinę, a później widzimy materiał nakręcony jakby dronem, który pokazuje tło historyczne, przyjęcie polsko-żydowskiej imigracji do Danii pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Dlaczego wybrałaś taką formę?

„Ważne było dla mnie poznanie historii mojej rodziny ze wszystkich perspektyw. Chciałam za pomocą środków literackich pokazać, jak na życie wpływają wszystkie możliwe wydarzenia historyczne. Również te, w których żyli twoi dziadkowie. I jak relacje w rodzinie często wskazują na doświadczenia, którymi ludzie zostali dotknięci. Historia rodziny to złożona sprawa, której nie można ująć w jednym zdaniu. Dlatego konieczne było dla mnie kompleksowe poruszanie się dookoła niej”.

W Polsce szczegółowo opisana jest tzw. emigracja marcowa 1968 roku. Powstały książki historyczne i naukowe, opublikowano morze wspomnień osób wypędzonych z Polski, powstały filmy fabularne, dokumentalne i sztuki teatralne. Ukazała się też książka w języku polskim zawierająca wywiady z 15 osobami, które przyjechały do Danii. Książka nosi tytuł „Z Polski do Danii”. Wspomnienia emigrantów marcowych” autorstwa Bogusławy Sochańskiej, najlepszej tłumaczki literatury duńskiej na język polski. W 2014 roku otrzymała ona Duńską Nagrodę Tłumaczeń za m.in. tłumaczenie: Dzienników Hansa Christiana Andersena. Po tym trochę przydługim wstępie chcę powiedzieć, że dopiero w Twojej książce przeczytałem, jak Dania przyjęła polskich imigrantów. Czy zgadzasz się ze mną, że ani wcześniej ani później społeczeństwo duńskie nie przyjęło lepiej żadnej innej grupy imigrantów? Że z tą konkretną grupą było najmniej problemów?



razie ta książka jest moją próbą uczciwego spojrzenia na historię mojej rodziny i jej wpływ na mnie. Praca nad książką była dla mnie niezmiennie mnie poruszającą i zmieniającą, a dzięki zrozumieniu nie tylko historii własnej rodziny, ale także swoich

„Wahałbym się przed wydaniem takiego wyroku. Przybycie polskich Żydów do Danii było pod wieloma względami szczególnie i nieporównywalne z dzisiejszym napływem uchodźców. Państwo duńskie współczuło Żydom, a gazety nalegały, aby otoczyć polskich przybyszów opieką w związku z Holokaustem i traumami, z którymi przybyli. Duńskie państwo opiekuńcze miało okres wzrostu i można było znaleźć pracę w fabrykach i innych miejscach, istniały możliwości dość szybko nauczyć się języka. Jednocześnie grupa Żydów polskich była znacznie mniejsza w porównaniu z uchodźcami i imigrantami z czasów późniejszych. W kręgu znajomych mojego ojca byli też młodzi Polacy, którzy w imię całkowitej wolności zażywali za dużo narkotyków i tracili życie. O tym też musimy pamiętać. Każdy uchodźca przychodzi ze swoją historią i walką. Nieważne, skąd pochodzi”.

Jestem bardzo ciekaw: czy nauczyłaś się wymawiać słowo „ptaszek” po polsku?

„Ha, ha, nie, niestety jeszcze nie. Prawdopodobnie nigdy do mnie to nie przyjdzie”.

Nathalie Ostryński, pragnę podziękować Ci, że w swojej zabieganej codzienności znalazłaś czas na wywiad dla jedyne go w Danii polskojęzycznego czasopisma „Informator Polski”

Roman Śmigiełski

Fragmenty książki

Nagle dzwoni mój ojciec.

Motel Ostryński to jego pełne imię i nazwisko. Polskie nazwisko i żydowskie imię, budzące wątpliwości i których pisownia na przestrzeni lat wywołała w Danii kilka dziwacznych powikłań i nieporozumień. Kiedy znalazł się w lokalnej księgarni telefonicznej Jutlandii, ludzie dzwonili o każdej porze dnia i nocy i pytali, czy w motelu jest wolny pokój. Później Facebook natychmiast odrzucił jego imię, powołując się na to, że ma charakter biznesowy. Teraz musi nazywać siebie innym imieniem w mediach społecznościowych.

Jeszcze przed wojną w Ukrainie ojciec znajdował się w krytycznej sytuacji. Wyraźnie nie wierzył, że pokojowe, demokratyczne państwo może trwać wiecznie.

„Nathalie, jeśli pewnego dnia Rosjanie wejdą do Polski, stanę przed twoimi drzwiami. Jestem na to mentalnie przygotowany i gotowy. Nie mam zamiaru znowu żyć pod rosyjskim panowaniem. Nigdy więcej. Mogę obiecać Ci, że będę obserwował, co robią ci bandyci.

„Kiedy 24 lutego 2022 r. wybuchła wojna, obudziłam się wcześniej rano z lekkim kacem w posiadłości na Zelandii. Przebywałam na seminarium z pracy, a poprzedni wieczór był pełen śmiechu, optymizmu i białego wina.

Świat radykalnie się zmienił, a gdy jechałam do domu w kierunku Kopenhagi, serce biło mi mocno.

„Czy to się naprawdę dzieje? Czy naprawdę miałeś rację?” Później tego samego dnia zapytałam ojca przez telefon.

„Tak kochanie. Przewidziałem to. Nie mogę w to uwierzyć. Po prostu nie mogę w to uwierzyć. On to zrobił do cholery, ten bandyta.

Zaśmiałam się na myśl o niezrealizowanym planie ucieczki mojego ojca do Danii, kiedy po raz pierwszy przedstawił mi swój pomysł, jakoby Rosja marzyła o podboju większej ilości ziem. Teraz już się nie śmieję.

Wiem, że to poważne dla mojego ojca. Częstochowa położona jest w południowej części Polski. Daleko od Ukrainy, a jednak nagle psychologicznie blisko.

Na początku wojny wywoływało to u mnie dziwny niepokój. Moja logika podpowiadała, że oczywiście nie groziło mu żadne realne niebezpieczeństwo. Mimo to moje myśli błędziły tam i z powrotem.

Zaczęłam śledzić ukraińskie wiadomości na żywo, które mogłam streamować w polskich mediach. Po polsku, rozumiałam około połowy tego, co mówili poważni reporterzy i gospodarze wiadomości, i uważnie obserwowałam ich miny, gdy relacjonowali inwazję na ich kraj.

Czasami siedziałam w cichym zdumieniu ze łzami w oczach, gdy do głowy wkraczała mi podzielona historia mojej rodziny. W mojej głowie pytania urosły do rozmiarów niemożliwych do opanowania i nie mogłam ich powstrzymać. Chociaż samokrytycznie zauważyłam, że wydają się przesadzone. Wszystkie te wielkie uczucia, które ukrywałam przez wiele lat, teraz zaczęły wiele ode mnie wymagać.

Poczułam nową bezbronność, rodzaj wrażliwości, której wcześniej nie doświadczyłam. Czy Polska może pewnego dnia zostać ponownie zaatakowana od wschodu? Czy moglibyśmy znaleźć się w miejscu, w którym ucieczka mogłaby ponownie wchodzić w grę? Czy mój ojciec powinien po raz drugi w życiu opuścić ojczyznę jako uchodźca? Po inwazji telefony od ojca również zmieniły charakter. Jego głos nie był już taki sam. Teraz mówił w innej tonacji molowej.

Kiedy zdjęcia masowych grobów w Buczy obiegły świat, uderzyło mnie przemożne poczucie, że historia świata powtarza rozdział, który na europejskiej ziemi powinien już dawno się zakończyć. Choreografia i scenariusz aż za bardzo przypominały przeżycia rodziny mojego ojca podczas drugiej wojny światowej, więc napisałam o tym esej dla dziennika *Berlinske*, w którym pracowałam.

Zapytałam ojca, czy sobie z tym poradzi. Aby móc na to patrzeć. Że znów zakopano ciała w stosach. Przestępstwa wojenne.

„Nie, nie mogę na to patrzeć. Ale muszę. Chcę wiedzieć, co się dzieje, kto, co i kiedy robi. Historia nauczyła mnie, że to jest konieczne. To jedyna droga do przodu.”

Latem 1967 roku nastroje nagle uległy poważnej zmianie. Teraz stało się to bezpośrednim zagrożeniem dla mojego ojca i reszty rodziny Ostryńskich. 19 czerwca sekretarz generalny i przywódca Partii Komunistycznej PZPR Władysław Gomułka wygłosił przemówienie, w którym oficjalną stała się antysemicka linia partii. Trwało to kilka minut, a miało długotrwały wpływ na życie tysięcy ludzi.

To, co tego dnia wyszło z ust sekretarza generalnego, zmieniło wszystko. To właśnie to przemówienie wyrzuciło całą rodzinę mojego ojca i jego samego z białostockiej codzienności i postawiło z powrotem na starcie w Danii. To przemówienie wywołało u mnie dreszcze, gdy zobaczyłam je po raz pierwszy. Ponieważ zadecydowało to także o moim życiu.

Sekretarz generalny występuje na podium przed ponad 1500 osobami w sali kongresowej Pałacu Kultury w Warszawie. Ubrany w garnitur i ciężkie okulary, swoją propagandę kieruje bezpośrednio do ludzi, do swoich „towarzyszy”. Jego dłonie ściskają oba końce mównicy, a jego wystająca górna część ciała porusza się po niej w przód i w tył, gdy mówi. Jakby potrzebował więcej fizycznego popisu. Jakby chciał podkreślić efekt własnych potępiających słów.

Izrael właśnie wygrał wojnę sześciodniową nad grupą wspieraną przez Rosję krajów arabskich, a część polskiego społeczeństwa i polskiego wojska wystąpiła otwarcie przeciwko linii partii. Okazali współczucie izraelskiemu zwycięzcy, co nie zostało dobrze przyjęte przez PZPR. Wynik wojny stał się publicznym punktem wyjścia dla kampanii antysemickiej, która od dawna była przygotowywana przez czołowe siły partii komunistycznej.

Już w latach 60. przygotowywano konkretne plany usunięcia Żydów z najwyższych stanowisk w aparacie państwowym i mediach oraz konkretne listy osób. Katalog żydowski, w którym wymieniono niechciane nazwiska. Publicznie kampania przebiegała inaczej. Partia komunikowała to jako rozgrywkę z syjonistami, którzy nie byli lojalni wobec narodu.

Próbując jednocześnie odwrócić wewnętrzny klimat polityczny w Polsce, gdzie panował coraz bardziej krytyczny stosunek do Gomułki, lider partii w swoim przemówieniu dał do zrozumienia, że polscy Żydzi stanowią „piątą kolumnę”. Innymi słowy, są wrogiem wewnętrznym, który stanowi potencjalne zagrożenie dla bezpieczeństwa i pokoju kraju.

Jego podekscytowany głos zmienia się pomiędzy wysokim i głębokim. Podczas przemówienia odgłosy wiwatów i głośnych oklasków uchwycą także kamery telewizyjne.

„Muszę prosić o spokój i pełne skupienie się na tematach, które będą omawiane z tej mównicy” – czuje się zmuszony w pewnym momencie ponuro powiedzieć zgromadzonemu.

„Jest grupa ludzi, która w tym kraju żyje i nie czuje się ani Polakami, ani Żydami” – słyszymy w jednym z jego zdań w przemówieniu i kontynuuje z oskarżeniem, że ci, którzy mają uczucia kosmopolityczne, są syjonistami:

„Nikt nie może czuć dumy z narodu, jeśli nie jest już przywiązany do narodu”.

Polska Ludowa była jedyną ojczyzną, a główne przesłanie było jednoznaczne: „Nie chcemy, aby w naszym kraju powstała piąta kolumna”.

Nagle Żydzi nie byli już mile widziani we własnym kraju. Otworzyły się śluzy dla nowej fali antysemityzmu połączonej z zastraszaniem, prześladowaniami i molestowaniem. Jednocześnie w marcu 1968 r. studenci i intelektualiści wszczęli zamieszki i protesty w Warszawie i innych polskich miastach, chcąc wyrazić swoje niezadowolenie z sekretarza generalnego i reżimu.

8 kwietnia 1968 r. Biuro Polityczne KC PZPR podjęło decyzję o odwołaniu ze składu rządu kilku ministrów i wiceministrów. Przygotowano instrukcje dla Polaków pochodzenia żydowskiego chcących opuścić kraj. Podano także szczegółowe instrukcje wyjaśniające, jak odróżnić Żydów od Polaków.

Celem politycznym partii było stworzenie iluzji, że syjoniści dobrowolnie opuścili kraj. Co w zawsze stosownej propagandzie miałoby potwierdzać utrwalony przez I sekretarza wizerunek nielojalnej „piątej kolumny” działającej przeciwko państwu polskiemu i partii robotniczej.

Żydów nie wypędzano fizycznie. Nie deportowano w kajdankach. Nie byli stłoczeni w bydlęcych wagonach, jak miało to miejsce kilkadziesiąt lat wcześniej. To był inny rodzaj scenariusza. Miało to podłoże finansowe i psychiczne. Uderzenie zostało szczególnie dopracowane w szczegółach.

Tylko od mojego ojca słyszałam o skibecie (statku). Opisują to tylko jego słowa. Ucieczka przed komunistycznym antysemityzmem, przyjęcie ze strony państwa duńskiego i przyjazd do Danii. To mały rozdział w historii świata, o którym nie uczyłam się w szkole.

Podczas gdy mój ojciec posmakował dużego kęsa wolnego życia młodzieżowego w Izraelu, Dania oświadczyła, że przyjmie dużą grupę polskich Żydów jako uchodźców politycznych. Mój dziadek, babcia i wujek przybyli do Danii w październiku 1969 roku. Całą trójkę natychmiast przewieziono na statek dla uchodźców St. Lawrence, który cumował przy nabrzeżu w porcie w Kopenhadze. Statek hotelowy, który pierwotnie służył turystom, z salami kolumnowymi, dużymi, szerokimi klatka-

mi schodowymi prowadzącymi łącznie na trzy pokłady i 460 łózkami w kabinach szerokich na dwa metry i długich na sześć metrów.

Tutaj leżało nieruchomo mnóstwo istnień ludzkich, a w ich wnętrzach znajdowało się wiele losów, smutku, niepokoju i niepewności. Nadal trudno mi zrozumieć, jak komunizm mógł w tak politycznie cyniczny sposób zwrócić się przeciwko tym, którzy ponieśli największe straty ludzkie podczas II wojny światowej. Przez lata opowiadałem ludziom o tym szczególnym zakątku zarówno polskiej historii, jak i historii duńskiej imigracji. Większość zareagowała tym samym zdziwieniem. Po pierwsze dlatego, że nie mieli wiedzy o tej części życia polskich Żydów. Po drugie, ponieważ podobnie jak ja nie rozumieją, dlaczego komuniści tak szybko po wojnie i Hitler wyrzucili Żydów. Jak to się mogło stać? Jak można było dokonać takiego wyboru z politycznego punktu widzenia?

Pewnego jesienno dnia jadę rowerem do Biblioteki Królewskiej, aby przeczytać artykuły z czasów, gdy moja rodzina przybyła do Danii. Chcę zrozumieć czasy, w których przyjechali i spojrzenie, jakie rzuciła im duńska publiczność po przybyciu na miejsce.

Jak byli postrzegani? Co gazety napisały o uchodźcach, którzy przybyli z komunizmu do ówczesnej duńskiej teraźniejszości z marzeniami o wolności i rewolucjach?

Chcę znaleźć słowa inne niż słowa mojego ojca.

Wśród bardziej typowych dla epoki wiadomości o długości minispódniczki, młodzieńczym buncie wśród księży, reklamach papierosów i magnetofonów, w ówczesnym wizerunkach duńskich mediów pojawiały się także historie o polskich Żydach, którzy z powodu prześladowań musieli opuścić swoją ojczyznę.

Zacznę od dziennika *Aktuellt*, który 23 grudnia 1968 roku pod tytułem „14 000 Żydów chce wyjechać” zamieścił informację o tym, jak polscy Żydzi stracili swoje stanowiska w czasie, jak to określiła gazeta, „czystek” w partii, rządzie, na uczelniach, w administracji państwowej, przemyśle, sztuce i wielu innych dziedzinach.

„Władze twierdziły, że demonstracje zostały sprowokowane przez „stalinstów, rewizjonistów i syjonistów”, którzy próbowali obalić kierownictwo partii pod przewodnictwem Władysława” - czytamy.

Reporter tego dziennika był na pokładzie St. Lawrence’a, aby zwiedzić małe kabiny statku i rozmawiać z niektórymi z pierwszych nowych uchodźców. Nie chcieli jechać do Izraela, ponieważ twierdzili, że jako komuniści podczas wojny sześciodniowej stanęli po stronie Arabów.

W kabinach było mało miejsca. Młodzi ludzie grali w rzutki na korytarzach i poza tym przebywali w kafeterii statku.

Anonimowy Polak powiedział - cytuję:

„Nie ma osoby, która sama nie próbowała być uchodźcą, która potrafi sobie wyobrazić, jak to jest zostać wykorzenionym i musieć rozpoczynać nowe życie w kraju, którego się nie zna i to w języku, którego bardzo trudno się nauczyć.”

Próbuję dopasować mojego ojca do tego opisu. Jak samotny musiał się czuć wyjeżdżając z Polski.

W 1969 r. liczba uchodźców do Danii stale rosła, z miesiąca na miesiąc, i 15 listopada tego roku przysłała kolej na B.T., aby napisać o życiu na pokładzie St. Lawrence. Reportaż prowadzony był w współczującym stylu i zwracam uwagę na opis statku jako przygnębiającego miejsca, gdzie żyją Polacy, którzy nie za bardzo wychodzili na zewnątrz i potrzebowali odpoczynku po ucieczce w oczekiwaniu na codzienną meldunek z Policji dla Cudzoziemców.

Mówił on o uchodźcach, których sprawa została skierowana do Ministra Sprawiedliwości w celu ostatecznego zatwierdzenia azylu. Oznaczało to pożegnanie ze statkiem i lepsze warunki w pokoju hotelowym. Kolejny meldunek mówił o nowo przybyłych. Nazwiska i miasta, które często pojawiały się razem ze statusem: „Były obywatel Polski, obecnie bezpaństwowiec”.

Czytałem o tym, że podawano jeden posiłek. Śniadanie. O resztę uchodźcy musieli zadbać sami, robiąc zakupy lub kupując posiłek we wspólnej restauracji. Opłacano im zakwaterowanie, otrzymywali 15 koron dziennie na wyżywienie i 9 koron kieszonkowego. Dodatkowo każdy z nich otrzymał kartę tramwajową, dzięki której mógł poruszać się po mieście do różnych urzędów i organizacji pomocowych. Ich bagaże piętrzyły się w hali statku, a na korytarzach mieszkańcy rozmawiali ze sobą lub grali w karty w pokojach.

Podczas gdy duńska policja badała ich sytuację, musieli pozostać na statku przez co najmniej 14 dni.

Znalazłam artykuł B.T., w którym opisano, że angielskie czasopismo nazwało napływ uchodźców „nowym Exodusem”.

Gazeta *Information* opisała całą sprawę pod hasłem „Polscy Żydzi ofiarami komunistycznego makkartyzmu” i przytoczyła „czarny humor”, który przechodził z ust do ust na hotelowym statku: „Polski student pyta profesora: Czy słowo syjonista pisze się przez i czy y? Można to zapisać na dwa sposoby, odpowiada profesor, ale łatwiej jest napisać po żyd”.

Wracam rowerem do domu z biblioteki. W domu znajduję w komputerze kolejne świadectwo z tamtego czasu. Jest to film SKIBET z 1970 roku. Urodzony w Polsce reżyser Marian Marzyński sam uciekł z Polski i zatrzymał się w hotelowym statku. Jego film to opowieść o losach różnych ludzi na pokładzie, w tym jego własna historia. Najpierw, w wieku pięciu lat, został przemycony z getta warszawskiego. Potem, już jako dorosły, ponownie przemycił się wraz z rodziną z Polski, bo nie chciał, żeby jego syn dorastał w komunistycznym kłamstwie.

Oglądam film i obserwuję, jak kamera Mariana Marzyńskiego przesuwają się po małych, ponumerowanych kajutach, w każdej z których znajdowała się mała umywalka.

W pomieszczeniach ogólnodostępnych znajdowała się tablica ogłoszeń z notatkami. O zapisach do przedszkola, ofertach na pokaz filmów i kartki od Duńczyków, którzy chcieli pomóc polskim uchodźcom w zapewnieniu im mieszkań, koncertów i kolacji we własnych domach.

Jego głos w filmie opowiada o żydowskich intelektualistach i o żydowskim proletariacie, o psychologicznych kosztach pozostawienia wszystkiego w swoim domu i o tym, jak poważna była decyzja o ucieczce.

Pewnego dnia przyjechał z wizytą książę Henryk i został oprowadzony po statku, innego dnia rozdawano używane płaszcze zimowe. „Polski ból, czy Duńczycy go rozumieją?” - pyta retorycznie Marian Marzyński w trakcie swej opowieści.

Pytanie to brzmi dla mnie jak jęk i skarga.

Czytam kolejny bezpośredni apel do Duńczyków o przyjęcie nowych polskich rodaków. Apel ukazał się w Morsø Folkeblad w poniedziałek 6 kwietnia 1970 r. W analizie podpisanej ahs. zarysowano powody, dla których polscy Żydzi osiedlali się w Danii. Na liście powodów znalazły się pomoc Duńczyków dla Żydów w czasie okupacji, duński system socjalny, przystępna cenowo podróż do Danii i podobny klimat.

„Władze duńskie starały się im pomóc jak najlepiej, gdyż niemal od chwili, gdy postawili stopę na duńskiej ziemi, przyznano im status Duńczyków” - czytamy.

Na koniec autor skierował bezpośredni apel do czytelników i samych Polaków:

„Nasi nowi rodacy nie potrzebują litości, ale bycia zaakceptowanymi jako Duńczycy z takimi samymi prawami i obowiązkami, jak my. To, czy uda im się stworzyć dobrą

i ludzką egzystencję, zależy oczywiście w dużej mierze od ich zdolności adaptacyjnych, ale także w dużej mierze od naszego nastawienia. Nie możemy też zawieść tego zaufania, jakie z góry pokładali w Danii i duńskim społeczeństwie”.

Na półce w domu mieliśmy też polskie ABC Elementarz. Otrzymaliśmy go w prezencie. Od czasu do czasu mama podnosiła książkę, żeby cierpliwie ćwiczyć ze mną zdania i słowa.

“Lalka, lampa, lustro.”

“Dukke, lampe, spejl.”

“Okulary, lisy, sowy.”

“Briller, ræve, ugler.”

“Kto to? To Ala i Ola. Ala stoi i Ola stoi.”

“Hvem er det? Det er Ala og Ola. Ala står, og Ola står.”

Posłusznie i bez większych emocji wypowiedziałam te słowa na głos, podczas gdy moje usta z trudem naśladowały perfekcyjny obrót języka mojej mamy i wymowę najtrudniejszych kombinacji spółgłosek. Jako dziecko język polski często odczuwałem jako okropne swędzenie. Wszystkie te osobliwe akcenty i sękaty konstrukcje spółgłoskowe mówiły mi tylko jedno: polski to bezużyteczny język. Jakaś brzydka, słowna wysypka, która działała na mnie żrąco. Której nie mogłam się pozbyć.

Byłam strasznie nieśmiała i powściągliwa w posługiwaniu się językiem polskim, mimo oczywistych zalet znajomości tego języka. Od czasu do czasu gościliśmy w domu mówiących po polsku gości, albo z rodziny mojego ojca, albo z rodziny mojej matki, albo z ich wspólnych znajomych. Ale w tych chwilach nie byłam zbyt zadowolona z rozmawiania z nimi po polsku.

Przewróciłam oczami, gdy mama poprosiła mnie, żebym przez telefon powiedziała kilka słów po polsku mojej babci i dziadkowi. Utknęłam po pierwszym „cześć”.

Ukrywałam się za krótkimi, odtrącającymi zdaniami, mimo że doskonale rozumiałam, co wszyscy mówili. Słuchałam mojego ojca, mojej matki, mojej babci i wszystkich innych, podczas gdy narastał we mnie mój własny dziwny i niemożliwy do opanowania bunt

Mój uwaga była skierowana wyłącznie na duński. To był język, który chciałam ośwoić i opanować do perfekcji. Bez błędów.

W każdy czwartek czekałam niecierpliwie na poboczu drogi, kiedy w naszej okolicy parkował miejski autobus z książkami. Często wracałam do domu z ogromnym stosem książek i komiksów i czytałem to wszystko w szybkim tempie w swoim pokoju.

Kiedy skończyłem dziewięć lat, pewnego dnia powiedziałem to na głos rodzicom. Następnie powtarzałem to zdanie w różnych odmianach przed nimi i przed innymi. Spokojnie zapytali mnie, dlaczego tak się waham, czy mówić po polsku. Sama pamiętam moją bardzo bezpośrednią odpowiedź jako odkupieńczą.

„Matko i ojczy, jesteśmy Duńczykami. Mieszkamy w Danii. Mówi się tu wyłącznie po duńsku. Ja też tego chcę. Możecie do mnie mówić po polsku. Naprawdę możecie, ale odtąd będę wam odpowiadać tylko po duńsku”.

Moja upublicznienie tego stanowiska oznaczało, że tak się stało. To była moja zwycięska rewolucja, moja całkowita asymilacja. Ostatecznie była to także dla mnie ochrona przed polskim.

Trzymałam się języka duńskiego, podczas gdy język polski został zburzony, zdanie po zdaniu.

Nigdy więcej “Kto to? To Ala i Ola. Ala stoi i Ola stoi.”

Mam na imię Nathalie. Imię wybrali moi rodzice, ponieważ miało globalny oddźwięk. Można go było używać na całym świecie, takie było ich optymistyczne rozumowanie.

Ale mieszkałam wtedy w małym mieście na Jutlandii, gdzie ludzie rzadko się przemieszczali. Tutaj widok na pola był ograniczony a ja nie słyszałam podstawowego tonu, którym rozmawiali mieszkańcy. Hadsten było miejscem, w którym w latach 80. i 90. można było daleko zajść bawiąc się w obywateli świata. Moje brązowe oczy, ciemne włosy oraz imię, które w niczym nie przypominało imion, które w tej okolicy miały inne dziewczyny, były zdewaluowaną walutą. Nie mogłam jej do niczego użyć. Moje proste argumenty były takie, że lepiej mieć na imię Mette, mieć niebieskie oczy i płaskie włosy, w kolorze pasztetówki, grać w piłkę ręczną, mieszkać w domku jednorodzinnym z maszyną Sodastream na kuchennym stole i piosenkami Kima Larsena na kasecie.

Czasami miałam niemal obsesję na punkcie tego, że mogę nazywać się inaczej i jeść duńskie jedzenie.

Bardzo lubiłam przychodzić do mojej koleżanki z klasy, gdzie jedliśmy makrelę z majonezem czy wieprzowe salami z remouladą lub prażoną cebulą na żytnim chlebie.

Spędzałam godziny u przyjaciółki z sąsiedztwa, skąd wymykałyśmy się, żeby zjeść roladę malinową i ciasto pod nazwą cytrynowy księżyc, które jej ojciec zawsze miał w kuchennej szafce.

Dla moich znajomych było to po prostu jedzenie, a dla mnie to była atrakcja, bo było duńskie. W domu moja mama miała klasyczne płyty Mozarta, w lodówce były ogórki kiszzone w słoiku, a na obiad zupa.

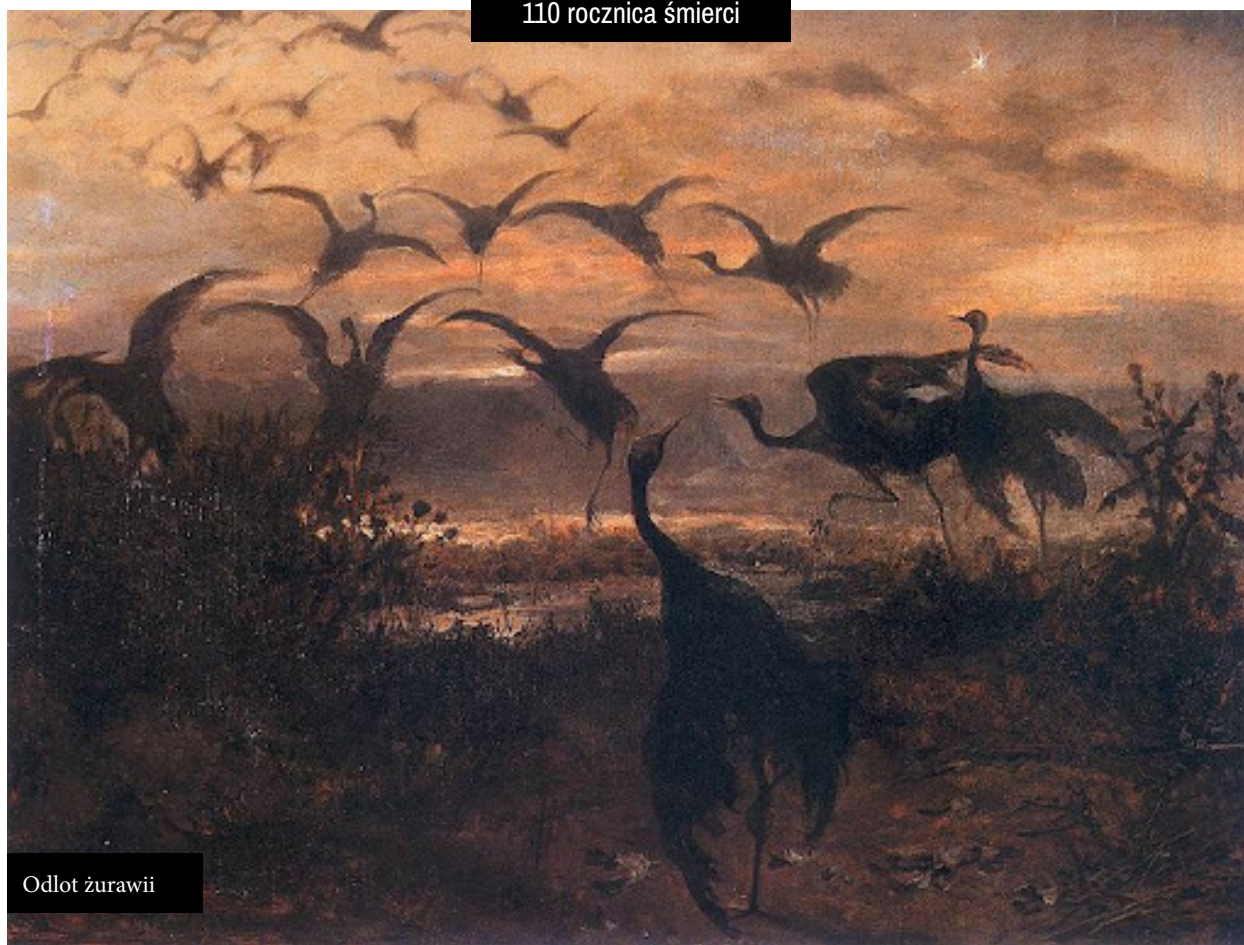
Z zapalem odnotowywałam wszystkie szczegóły duńskich domów, do których wchodziłam. Od najmłodszych lat byłam antropologiem-samoukiem, który uważnie studiował Duńczyków i ich życie.

Jak wyglądały lampy? Jak Duńczycy nakryli do stołu? Czym było hygge i jak objawiało się konkretnie? Jakie były rytuały? Jakie słowa zostały użyte do czego? Jaki był ton?

Chciałam to wszystko zrozumieć i wszystko zobaczyć.

Rok po roku, mentalną pracą detektywistyczną, skutecznie odpychałam to, co polskie. Moje usta chciały wyrażać się solidnie po duńsku. Æ, ø og å, dziękuję.

Frikadeller, leverpostej og røde pølser, dziękuję.



Odłot żurawii

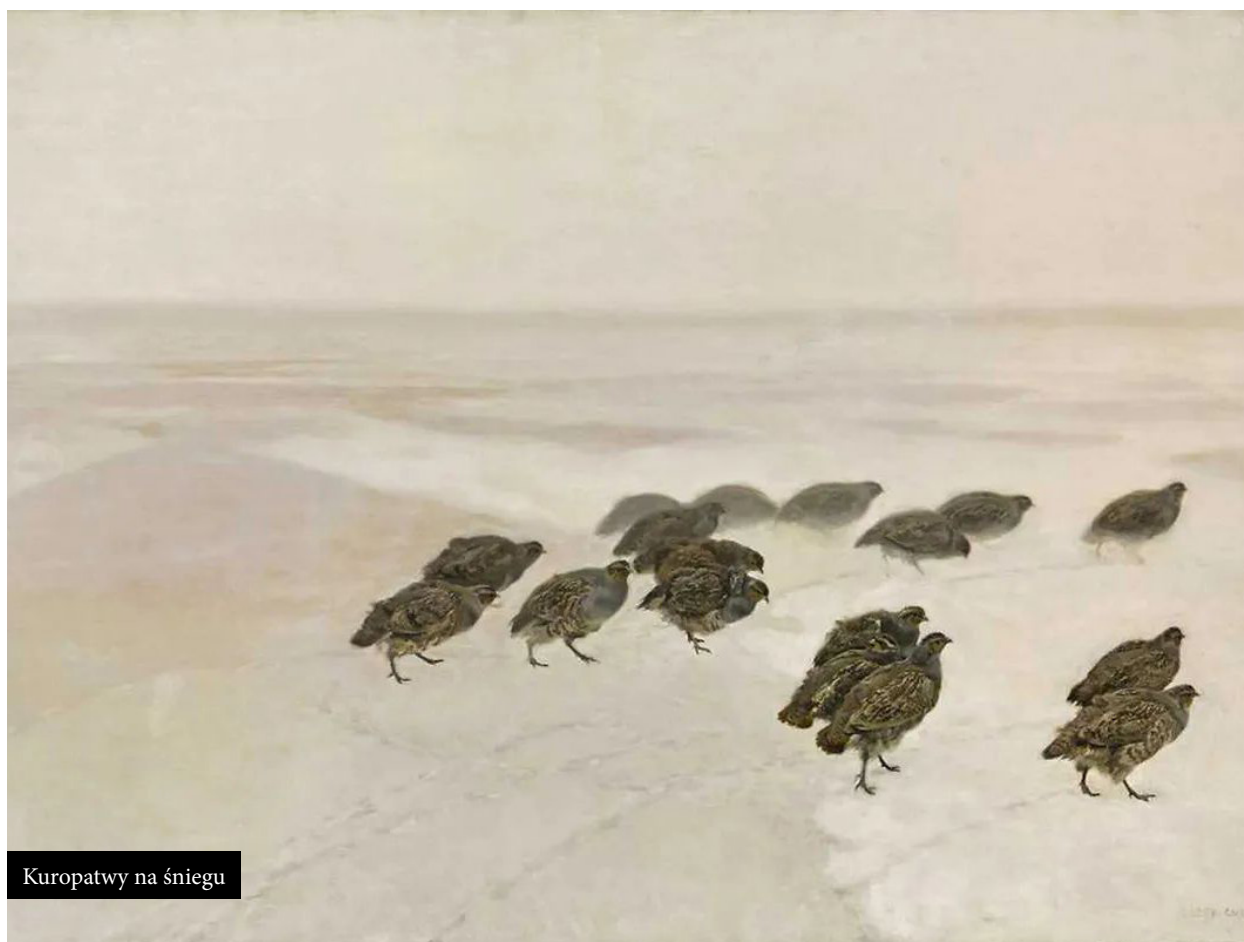
Józef Chełmoński – cudowne zjawisko w pejzażu naszej narodowej kultury

Nie ma prawie polskiego domu, w którym by nie wisiał obrazek przedstawiający, a to przylatujące wiosną bociany, a to babie lato. Mnie od najmłodszych lat życia pociągał obraz Chełmońskiego przedstawiający kuropatwy zimą. Miałem wspaniałą, na kartonie, reprodukcję tego dzieła, ponieważ wygrałem ją w jakimś konkursie. Całymi godzinami, dniami i miesiącami z lubością wpatrywałem się w piętnaście kulących się szarych ptaków podczas śnieżnej zawiei.

Chełmoński (1849-1924), twórca tych obrazów, jest cudownym zjawiskiem w pejzażu naszej narodowej kultury. Pokazał w swych realistycznych obrazach, na sposób nowatorski, Polskę szczęśliwą, sielską drugiej połowy XIX wieku i pierwszych 14 lat dwudziestego stulecia. Urodził się w 1849 roku we wsi Boczki koło Kalisza, zmarł w kwiet-

niu 1914 w Kuklówce Zarzecznej koło Grodziska Mazowieckiego. Uzdolniony malarsko kształcił się w Warszawie pod opieką Wojciecha Gersona. W latach 1871-1875 przebywając w Monachium, żył w środowisku polskich artystów, którzy pozostawali pod wpływem Maksymiliana Gierymskiego i Józefa Brandta. Następnie przez dwanaście lat tworzył i doskonalił warsztat artystyczny w stolicy Francji.

Wróciwszy do ojczyzny w roku 1889 osiadł na stałe – a więc do końca życia – we wsi Kuklówka. Wielokrotne wypady na Podole i Ukrainę karmiły jego wyobraźnię egzotyką życia tych regionów. W swej twórczości zawarł realia autentycznego życia. Potwierdzają tę naszą konstatację obrazy: *Wyplata robocizny (sobota na folwarku)*, *W ogródku*, *Matuła są !*, *Sprawa przed wójtem*, *Przed karczmą*, *Targ na konie w Bałcie*, *Orka*. Był przecież – jak wiemy –



Kuropatwy na śniegu

uczniem wybitnego malarza-realisty Gierymskiego. Ten ostatni obraz zwykle zwraca szczególną uwagę miłośników malarstwa, którzy podziwiają maestrię warsztatu twórcy, który surowymi środkami wyraził znój prostego człowieka.

Nie przypadkowo wielkie walory tego dzieła zauważył Stanisław Wyspiański rozumiejący zmagania się człowieka z losem. Czwarty Wieszcz rozumiał ziemię, rozumiał człowieka i jego trud. Po prostu PRACĘ. W liście do Lucjana Rydla pisał o dziele:

Świeci temu wszystkiemu obraz Chełmońskiego, wieśniak o świtaniu orzący pługiem, woły dwa ciągną żelazo i czarne skiby odwalają, wrony przeskakują i wybierają dziobami pędraki, skowronek podfrunął i śpiewa. Jest w tym obrazie rzecz, którą zauważyłem pierwszy raz, zgrzyt żelaziwa w pługu, stąpanie ciężkich wolicz łap, świergotanie, ciurkanie skowronka... chłód ranny świeży, który słońce rozwieje, róż silny, róż mocny jutrzany...

Jak widać, ziemia w ujęciu Chełmońskiego i Wyspiańskiego to nie jakaś działka budowlana, którą – jak to dzieje się dzisiaj – można sprzedać, aby

sobie zapłacić wycieczkę na Karaiby, ale to matka-żywicielka, uosobienie Ojczyzny. To Sacrum...

Jawi się jednocześnie u Chełmońskiego bogaty, obfity żywioł zabawowy, ludyczny, wyrażający się w obrazach: *Oberek*, *Pijany chłop* – szkic, *Powrót z balu (sanna)*, *Kulig*, *Zaloty*, *Sielanka*. Z wirtuozerią przedstawiał szalony pęd wielokonnych zaprzęgów (*Czwórka w zaspach*, *Trójka na śniegu*, *Próba czwórki*, *Trójka*).

To te płótna i obrazy ziem ukraińskich były bardzo poszukiwane na paryskim rynku dzieł malarskich. Dużych rozmiarów obraz (275 x 660 cm) *Czwórka (Po stepach)* z 1881 roku, oglądany w Muzeum Narodowym w Krakowie, robi duże wrażenie. Przypomina się – u progu kinematografii – pociąg pędzący na widzów kinowych siedzących w zaciemnionej sali.

Miłujący świat rustykalny, niechętny aglomeracjom miejskim, Chełmoński poprzez przedstawianie pysznych widoków polskiego pejzażu, różnorodnych obrazów przyrody, ukazywał postępujący upływ czasu i cykliczne zmiany pór roku. Po wielu latach



Autoportret malarza (1902)



Matula są!



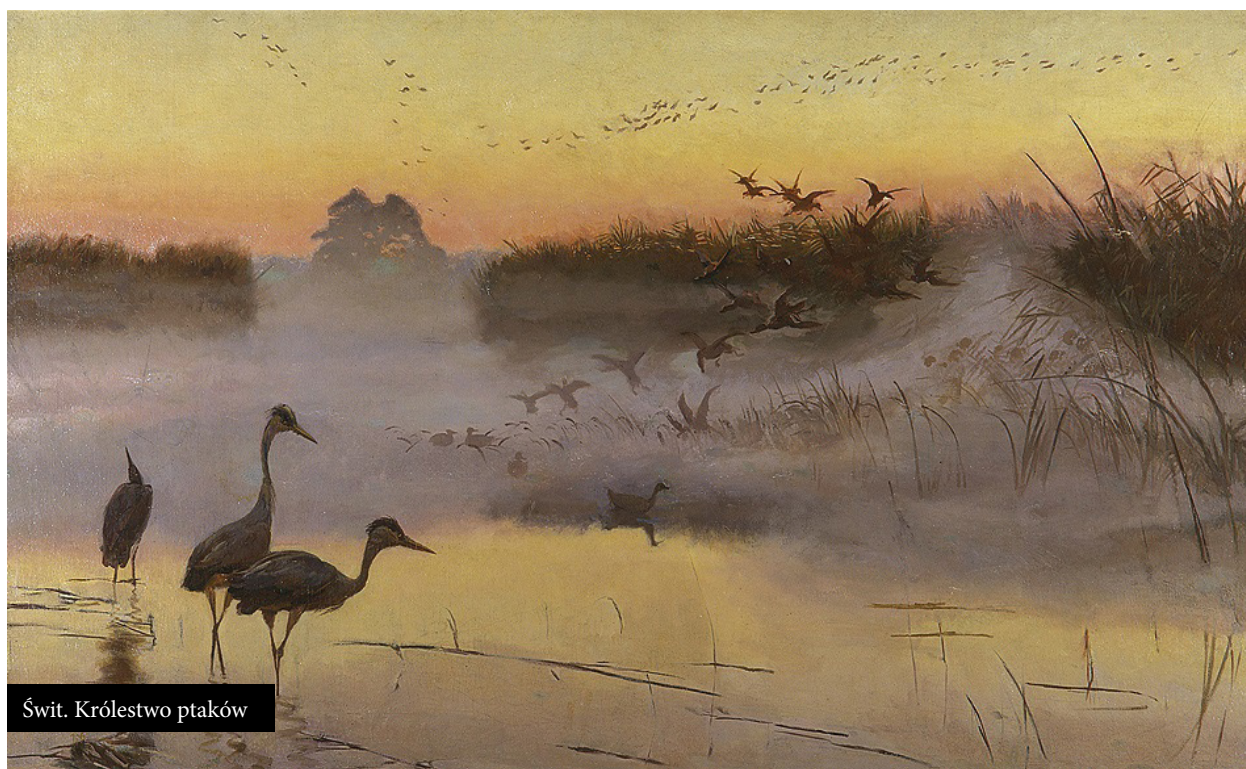
Epizod z powstania 1863

takim tropem szedł Władysław Reymont, ukazując słowem w czterotomowych *Chłopach* kształty jesieni, zimy, wiosny i lata. W obrazach Chełmońskiego dosłownie czuje się oddech jesieni (*Odłot żurawi*, *Jesień*, *Pastuszkowie przy ognisku*, *Orka*), zimy (*Zima w Polsce*, *Kuropatwy na śniegu*, *Zachód słońca zimą*, *Zima – Dworek o zmierzchu*, *Krzyż w zadymce*), wiosny (*Roztopy na Ukrainie*, *Zalana łąka*, *Łąka z kaczeńcami*, *Bociany*, *Wiosna – potok*, *Kaczeńce*) i lata (*Pole z łubinami*). Poetyczność i swoisty romantyzm wzbogacają przedstawiany przez Chełmońskiego świat.

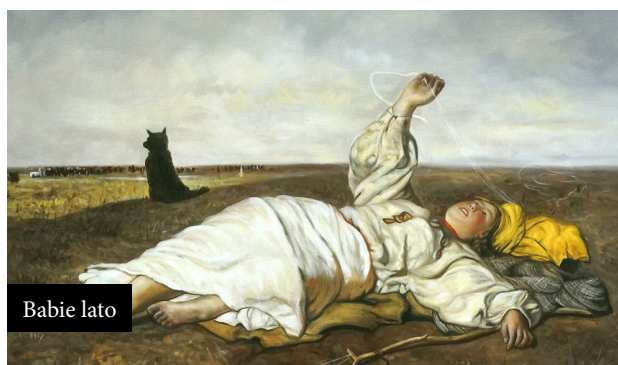
Malarz zafascynowany był światem ptactwa. Widać to w tytułach prac: *Czajki*, *Czapla bąk*, *Kurka wodna*, *Studium do głuszcza*, *Jastrzęb*, *Królestwo ptaków*, *Żurawie – pejzaż z łąką*, *Powitanie słońca – Żurawie*, *Żurawie o poranku*, *Bociany* (1900). Malował łąki (*Stóg na Pińszczyźnie*), pastwiska,

stawy (*Staw w lesie*, *Koncert żab*), zalane deszczem łąki, strumienie i rzeki (*Krajobraz – wieś nad wodą*), zagajniki, panoramy wsi. Także autoportrety oraz portrety osób bliskich i oryginałów, spotykanych po wsiach i miasteczkach.

Chełmoński uważał za niezbędne kultywowanie w tym sielskim pejzażu tradycji naszych patriotycznych zrywów niepodległościowych. Przywoływał i sugestywnie ukazywał środkami malarskimi sceny z czasów Insurekcji Kościuszkowskiej i powstania styczniowego. Tę problematykę podejmował w obrazach: *Powstańcy na postoju* oraz *Epizod z powstania 1863*, przedstawiający bitwę pod Chruśliną, w której walecznością wykazali się krakusi i kosynierzy. Inne, znaczące dzieła to: *Powstańcy przed karczmą*, *Modlitwa przed bitwą* (Raclawice), *Kosynier*. Sięgał także – jako uczeń Brandta – do tematów z zakresu historii naszej ojczy-



Świt. Królestwo ptaków



Babie lato



Powitanie słońca. Żurawie

znych lat wcześniejszych. Przykład: Kazimierz Pułaski pod Częstochową.

Pamiętając daty biograficzne Chełmońskiego musimy stwierdzić, że pomimo rozbiorów malarz żył w czasach bez globalnych kataklizmów. Jan Lechoń, świadek i ofiara aż dwu wojen światowych, nieszczęsny emigrant-desperat, nie przypadkowo w tym artyście szukał psychicznego azylu i ukojenia. Był dla niego uosobieniem Polski i polskości. Oto jego bardzo wymowny, drukowany w roku 1953 w londyńskich „Wiadomościach”, wiersz Chełmoński:

*Kaczki ciągną, grązele kwitną na jeziorze,
Jakby wypisz, wymaluj Chełmońskiego płótno.
Pachnie łąka skoszona i myślę: „Mój Boże!
Jak dobrze jest mi tutaj i jak bardzo smutno!”
Jak w Polsce płyną skądś śwędy spalenizny,*

*Zając przemknął przez drogę, piesek obok człapie.
Wiem, czego mi potrzeba: tęsknię do ojczyzny,
Której nigdy nie było i nie ma na mapie.*

Skąd mogą płynąć owe śwędy spalenizny, jeśli nie z płócien Chełmońskiego z końca wieku dwudziestego: Pastuszkowie przy ognisku, Jesień, Owczarek? Te płótna są rozpoznawalne dla Polaków starszych wiekiem. Mogą być też rozpoznawalne dla młodszych. Muszę przyznać, że młodzież żyjąca w rodzinnych stronach Chełmońskiego pamięta o „swoim malarzu”. Do muzeów droga otwarta dla wszystkich. Nie tylko akcyjnie „nocą”, w tłumnej marszrucie. Ja zwykle snuję się po muzealnych salach samotnie, w szare dni powszednie...

Włodzimierz Wójcik

(Dwukropek – miesięcznik kulturalno-edukacyjny dla Polaków w Cape Town nr. 254)

Wiśniowe tiramisu w pucharkach



Wyobraź sobie, że ktoś dzwoni do drzwi. Idziesz, otwierasz, a tu za drzwiami z rakieta tenisową w ręku stoi Iga Świątek! Co jej zaproponujesz? Oczywiście jej ulubione tiramisu.

Składniki:

1 szklanka wiśni,
6-8 łyżek cukru,
200 ml kremówki 36 %,
25 dag serka mascarpone,
 $\frac{3}{4}$ szklanki naparu kawy, likier lub olejki migdałowy,
1 opakowanie małych biszkoptów,
kakao.

Wiśnie umyj pod bieżącą wodą, osusz, pozbaw ogonków i pestek. Wsyp do miseczki, zasyp 2 łyżkami cukru, odstaw na 15 minut, by puściły sok.

Śmietanę kremówkę zmiksuj mikserem z 4 łyżkami cukru, cały czas miksując dodawaj po łyżce serka mascarpone.

Ciepłą zaparzoną kawę wymieszaj z łyżką cukru, łyżką likieru lub 2 kropelkami olejku migdałowego.

Do pucharków na spód połóż po dwa namoczone w naparze kawy biszkopty, na nich rozłóż warstwę wiśni i kremu, następnie ułóż kolejne biszkopty. Układaj kolejno aż skończą się produkty. Na wierzch posyp kakao.

Poczęstuj Igę i zapytaj czy smakowało.

UŚ

CZCZONA W BAWARII, MAŁO ZNANA W POLSCE



522. rocznica śmierci Jadwigi Jagiellonki

Jadwiga Jagiellonka urodziła się jako pierwsza córka Kazimierza IV Jagiellończyka i Elżbiety Rakuszanki. Gdy przyszła na świat 21 września 1457 roku na Wawelu, od początku było wiadomo, że królowna będzie jedną z najlepszych partii w Europie. Król Węgier, Maciej Korwin, prosił czterokrotnie o rękę Jadwigi, jednakże matka nie zgodziła się na to małżeństwo, mówiąc: "Korwin to niewykształcony prostak, niegodzien mojej córki". Dla zabezpieczenia granic z Czechami oraz zacieśnienia stosunków Polski z Habsburgami, wydano ją za księcia bawarskiego, Jerzego Bogatego. Księstwo Bawarskie, w porównaniu z obszarem Rzeczypospolitej Polskiej, było wtedy „odciskiem palca” na mapie Europy. Ponieważ Wittelsbachowie byli wtedy mało znaczącym księstwem, widzieli oni w połączeniu obydwu

rodów gwarancję bezpieczeństwa wobec narastającego zagrożenia ze strony Cesarstwa Osmanów oraz podniesienie prestiżu i relacji wśród władców Europy szczególnie z Polską i Czechami.

Do tej pory niemieccy historycy, podsumowując życie polskiej królowej, nie zadali sobie większego trudu w poszukiwaniu dokumentów czy też śladów. Jednogłośnie twierdzili, że Jerzy Bogaty upokarzał małżonkę licznymi romanсами i aby mieć wolną rękę, osadził i uwięził ją na zamku Burghausen, gdzie po 27 latach pobytu umarła w smutku i zapomnieniu. Twierdzenia takie, a raczej niedocenywanie zasług Jadwigi Jagiellonki, są dla mieszkańców tego miasta nie do przyjęcia. Prawdą jest to, że książę Jerzy ją zdradzał i był „moralnym łajdakiem” natomiast to, że miał trzymać swoją żonę pod kluczem jak więźnia, nie odpowiada faktom! Mimo licznych afer Jerzego Bogatego zasłużył się jako władca księstwa Bawarskiego, dbającym o rozwój kraju i jego intere-

sy. Podczas jego rządów Bawaria osiągnęła pewną stabilność polityczną i gospodarczą. Wielu historyków, nie znając najnowszych publikacji naukowych, powiela te błędne poglądy.

Miejscowy naukowiec, Dr. Dorner, na podstawie wieloletnich badań, podważył teorię swoich poprzedników. Jako pierwszy i jedyny do tej pory historyk postawił sobie za punkt honoru odtworzenie losów polskiej królowny. Był on wybitnym specjalistą w odczytywaniu dokumentów średniowiecza, a do najważniejszych publikacji tego historyka należy książka – praca naukowa „Herzogin Hedwig und ihr Hofstaat” („Księżna Jadwiga i jej dwór”), oparta na oryginalnych źródłach i rachunkach z XV wieku. Nikt do tej pory nie zweryfikował tych historycznych dokumentów. W kwietniu 2018 roku za zasługi dla polsko-bawarskiej historii został on odznaczony Medalem Honorowym RP „Bene Merito”. Zmarł 21.11.2020 roku w wieku 87 lat jako nauczyciel, historyk, autor i miłośnik Polski.

Zasługi i życie Jagiellonki

Jadwiga Jagiellonka miała istotny wpływ na życie kulturalne i społeczne Bawarii, a jej dziedzictwo jest nadal obecne w historii tego regionu. Prowadziła duży dwór, do którego należało co najmniej sto osób, w tym 21 szlachcianek, czterech kapelanów (jeden z Polski), kilku kucharzy, służba, a nawet nadworny karzeł i błazen. Jagiellonka utrzymywała korespondencję z Polską i regularnie przyjmowała szlachetnych gości. Brała udział razem ze swoim mężem w polowaniach i turniejach rycerskich, między innymi na zamku w Jettenbach czy Guttenbug. Uwielbiała konie oraz ptaki łowcze, głównie sokoły. Księżna uczestniczyła w wielu katolickich uroczystościach, często odwiedzając klasztor w Raitenhaslach. W latach 1478 i 1479 udała się na pielgrzymkę do austriackiej miejscowości Mondsee i St. Wolfgang, które ówczesnie w XV wieku należały do Księstwa Bawarii. w 1489 roku odwiedziła dwukrotnie czarną Madonnę z Altötting. Jest współzałożycielką klasztoru Altomünster niedaleko Pasawy, przekazała dużą sumę na rozbudowę kościoła w Altötting, a także na renowację przytułku i kościoła dla trędowatych w Heiligkreuz oraz na rozbudowę miejscowego szpitala. Z własnych dochodów, które czerpała z włości regionu Kraiburg, Mühldorfer Hart und Töging, wybudowała kaplicę na zamku w Burghausen, którą do dziś mieszkańcy Burghausen nazywają Hedwigskapelle - kaplicą Jadwigi.

Przekazywała świece oraz darowizny na bieżące potrzeby pobliskich parafii. Ciepło i dobroć serca polskiej królowny odczuli również najbiedniejsi. Z 1490 roku zachował się jedyny w swoim rodzaju dokument - prośba o ułaskawienie skazańca, z własnoręcznym podpisem i pieczęcią. Szczególnie troszczyła się o trędowatych mieszkających poza miastem przy kościele Heiligkreuz, przesyłając im regularnie nie tylko wino i żywność, ale także paszę dla kur i gęsi. Zleciła wybudowanie pomostu pomiędzy budynkiem a kościelnym chórem, aby trędowaci mogli również uczestniczyć w nabożeństwach. W kościele tym znajduje się w sklepieniach herb polski, który można zobaczyć do dziś. Wszystkie dzieci, biedni i potrzebujący przed świętami wielkanocnymi i przed Bożym Narodzeniem otrzymywały od niej bawarskie „precelki”. O wielkiej miłości i poważaniu córki do ojca świadczy zapis historyczny – mianowicie po otrzymaniu wiadomości o śmierci króla Polski Kazimierza IV (7.06.1492) poleciła, aby 23 sierpnia wieczorem we wszystkich pobliskich kościołach i klasztorach uroczyste były dzwony na cześć zmarłego króla i odbyły się msze żałobne. W samym zaś Burghausen przez wiele lat odbywały się coroczne intencje mszalne. Okazało się, że wiele śladów po Jagiellonce można znaleźć nie tylko w archiwach, ale także w miejscach publicznych, które można zobaczyć do dziś. Na dzwonie z 1497 roku, na łukowych sklepieniach kościołów, na ołtarzach, malowidłach, fasadzie kościelnej, tablicy nagrobkowej można do dziś oglądać piastowskiego orła z XV wieku lub wizerunek księżnej. Największym jednak dowodem powiązań polsko-bawarskich jest herb aliancki również z XV wieku, znajdujący się na fasadzie bramy wjazdowej zamku. Zaczęła również spisywać kronikę rodu Wittelsbachów ich choć książka zaginęła, to potwierdzają ten fakt zapiski historyczne.

Potomstwo Jadwigi

Jadwiga urodziła co najmniej dwoje dzieci: w 1478 r. Elżbietę i w 1480 r. Margaretę. Córka Margareta w wieku 14 lat wstąpiła do klasztoru dominikanek w Altenhohenau, a później została przeoryszą w klasztorze benedyktynek w Neuburgu, gdzie zmarła w 1531 roku i została tam pochowana. Druga córka, Elżbieta, urodzona w 1478 r., została w 1499 r. żoną księcia Palatynatu (von der Pfalz) Ruprechta, któremu urodziła dwóch synów. Jerzy Bogaty mianował swojego zięcia Ruprechta spadkobiercą, co nie było zgodne z wcześniejszymi postanowieniami i wywołało wojnę o sukcesję, w wyniku której władzę

nad całą Bawarią przejął Albrecht IV z Monachium. Tylko niewielka część, Palatynat Neuburg, została przekazana synowi Ottheinrichowi. Elżbieta zmarła na czerwonkę w wieku 26 lat, a jej synowie Ottheinrich (1502–1559) i Philipp (1503–1548) nie pozostawili po sobie potomków. Wraz z ich śmiercią wygasła Bawarsko-Landshutska linia Wittelsbachów.

Historyk Christian Haentle w 1870 r. wymienia w swojej „Genealogii rodziny Wittelsbachów” także trzech synów Jadwigi Jagiellonki - Ludwika, Ruprechta i Wolfganga. Ludwig z niewiadomych nam powodów zmarł w wieku około 10 lat i został pochowany również w klasztorze Raitenhaslach, a pozostali synowie zmarli krótko po urodzeniu. Dr Dorner zwraca również uwagę na rachunek krawca z 1477 roku, w którym wpisana jest kwota za materiał dla „Jaśnie pani i chłopca Jaśnie wielmożnego pana” (mowa tu o synu Ludwigu). Następnym dowodem, iż Jadwiga urodziła synów, podkreśla prof. Locher, to mowa pogrzebowej z 1502 r.: „Potężny syn mógł wyłonić się spod jej opieki, ale śmierć go porwała”.

Ostatnie dni Jagiellonki

Zdrowie w ostatnich latach życia Jadwigi pogarszało się nieustannie. Świadczą o tym zachowane liczne rachunki za lekarstwa i zioła, które sprowadzano z Landshutu. Z początkiem lutego 1502 r. stan zdrowia Jagiellonki tak się pogorszył, że do księżnej przyjechali lekarz z Salzburga, dr Schärddinger, oraz dr Fink z Landshutu. Jak opisuje kronikarz, przywiezione maści lecznicze i zioła nie dały oczekiwanego skutku, a księżna po otrzymaniu ostatnich sakramentów, 18 lutego 1502 r., na zawsze zamknęła oczy. Natychmiast wysłano gońców do Landshutu, aby powiadomić małżonka, a czterech nadwornych kapłanów wraz ze świtą w kaplicy zamkowej przez całą noc śpiewało żałobne pieśni. Zwłoki Jagiellonki w trumnie przewieziono powozem do pobliskiego klasztoru w Raitenhaslach i pochowano w grobowcu rodzinnym Wittelsbachów. O samym przebiegu pogrzebu nie zachowały się żadne zapiski, jednak opisane są uroczyste msze żałobne w siódmym oraz trzydziestym dniu po jej śmierci, w których uczestniczył małżonek wraz z przeorami z okolicznych klasztorów. W kościele na zbudowanych rusztowaniach powieszono czarne płótna oraz ustawiono świece, przed którymi klękały wynajęte „płaczki”. Dodatkowo w kościele Św. Jakuba na starówce w Burghausen przez pierwszy miesiąc po śmierci Jadwigi odbywała się codziennie msza żałobna. Nie zapomniano również o rocznicy jej odejścia. Rada miasta Burghausen oraz mieszkańcy udali się

korowodem na mszę do Raitenhaslach. Dodatkowo zaciągnięto warty honorowe przy bramach wjazdowych oraz ratuszu. Biedni i potrzebujący otrzymali liczne jałmużny. Także na uniwersytecie w niemieckim Ingolstadt uczczono jej pamięć. Jakob Locher – profesor humanistyki i filologii – wygłosił swoją lirykę funeralną (żałobną) składającą się z dwóch części. W pierwszej wysławiał on zalety i zasługi zmarłej, a w drugiej, tak zwanej konsolacyjnej, wyraził żal po stracie księżnej. Wiersz głosił m.in.: „Śmierć gniewna zabrała ze sobą naszą Panią; / wywodziła się z rodziny królewskiej, odznaczającej się pobożnością, / wyróżniającą się dobrym charakterem. / Nie była jeszcze w podeszłym wieku i nie była bezpłodna. / Wylej łzy smutku i połącz kres bólowi! / Trzeba zaakceptować los, przeciąć nić życia i umrzeć. / Ciało złożyło hołd śmierci – ale jej dusza odnajdzie pobożny odpoczynek”.

Miejsce pochówku

Dziś w kościele klasztornym w Raitenhaslach na miejscu pochówku znajduje się tablica pamiątkowa w posadzce. Do roku 1803 stał tam nagrobek rodziny Wittelsbachów, który podczas sekularyzacji zaginął bez śladu. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zachowała się akwarela klasztornej kronikarza Konrada Tachlera z 1612/13 r., dzięki której wiemy, jak wyglądał ten wykonany z czerwonego marmuru nagrobek. Warto tu wspomnieć, że ten marmur pochodził z tego samego kamieniołomu z okolic Salzburga, z którego wykonano nagrobek jej ojca Kazimierza Jagiellończyka. Ponieważ zwłok nie chowano w samej tumbie (czyli nagrobku), tylko pod podsadzką, specjalna komisja, powołana przez ministra kultury w 1855 r., szukała podziemnej krypty/sklepienia i prochów zmarłych. Po przekopaniu posadzki – jak opisuje w kronice ówczesny ksiądz Lothar Krick – natrafiono na płytę, wieko grobu, o wymiarach 3,06 x 1,60 x 0,38 metra i o wadze 4,16 tony, a pod nią na resztki spróchniałego drewna i ludzkie szczątki. Ze względu na powagę i pobożność komisja zaprzestała dalszych poszukiwań, szczątki złożyła z godnością w grobie, a marmurowe wieko wmurowano w posadzkę kościoła. Do dziś widnieją na nim wyryty pamiątkowy tekst oraz herby Polski i Bawarii.

Na cześć Polskiej Królewny

Mieszkańcy Burghausen do dnia dzisiejszego bardzo czczą i dbają o pamięć. Co roku na początku czerwca odbywa się trzydniowy festyn średniowieczny, na

który zjeżdżają się organizacje rycerskie z całej Europy. Rozpoczyna on się uroczystym pochodem na zamek. W 1902 roku gazeta regionalna opublikowała prozę napisaną z okazji 400-lecia śmierci księżnej. Natomiast w 2002 roku z okazji 500-lecia odbyły się na zamku uroczystości, w których brał udział prof. Leszek Żądło – znany polski saksofonista sceny jazzowej. W 2017 roku autor artykułu wraz z małżonką zorganizowali z okazji 560 lat urodzin Jagiellonki pierwszą w historii polsko-bawarską Mszę Św. W uroczystości uczestniczyli przedstawiciele miasta, organizacji polonijnych oraz Konsul RP z Monachium Marcin Król. O notę muzyczną zadbały zespoły folklorystyczne „Krakowiak” z Monachium oraz bawarska grupa „Almenrausch – Lindach” z Burghausen w strojach ludowych. Każdego roku w dniu Wszystkich Świętych przedstawiciele Polskiego Konsulatu z Monachium składają wieniec na jej grobie. Warto wybrać się na wycieczkę do Bawarii i pójść tropem naszej Jadwigi Jagiellonki, a bawarscy przewodnicy do dziś zaczynają swe wykłady miłym słowem: „Nasza polska Królowna...”.

Andrzej Białas

(Polonia Viva, 15.03.2024)



Zamek Burghausen



Kaplica Jadwigi

ZBRODNIENIE WOJENNE W UKRAINIE

rozmowa z dr. Eugeniuszem Bilonozko, politycznym
ekspertem i dziennikarzem, wcześniej redaktorem portalu
polonijnego na Ukrainie



Jest Pan Polakiem z Ukrainy...

Dlatego w naturalny sposób bliska mi jest Ukraina. Mieszkając w Polsce i będąc Polakiem z pochodzenia w naturalny sposób jestem związany też z Polską. Ukraina walczy przede wszystkim za siebie i swoich obywateli i własną niepodległość, budując w ten sposób własną nowoczesną tożsamość. A może to robić w sposób, który sama uzna za najlepszy i w jaki będzie chciała. Nikt nie może jej szantażować ani wymuszać na niej cokolwiek. Niestety, uważamy że możemy państwu co walczy narzucić swoje pomysły. Ta populistyczna narracja z każdej strony skutkuje tym, że teraz nasze stosunki są mocno zachwiane. Przypomnę, że budowa sojuszu tylko na wspólnym wrogu nie może doprowadzić do prawdziwej i opartej na wartościach współpracy albo do pojednania. Podczas II wojny światowej Stany Zjednoczone Ameryki oraz Wielka Brytania, zagorzałe kraje antykomunistyczne, były w sojuszu z tyranem Stalinem. Łączył ich tylko wspólny wróg. Kiedy skończyła się opcja zagrożenia, to doszło do pęknięcia sojuszu, który nie był oparty na wartościach. A tylko wtedy jest on w stanie przetrwać. Niestety, nie jesteśmy w stanie, do tej pory, znaleźć wartości, na których możemy wybudować prawdziwy i głęboki sojusz między Ukrainą i Polską, nas łączący tylko wspólny wróg.

Konflikt zbrojny pomiędzy prorosyjskimi separatystami ze wschodu Ukrainy - a siłami wiernymi legalnym władzom Ukrainy oraz aneksja Krymu zaczęły się jeszcze w roku 2014...

... a 24 lutego 2022 Federacja Rosyjska zaatakowała, bez wypowiedzenia wojny, Ukrainę. Była to eskalacja konfliktu zbrojnego z roku 2014. I trwa do dnia dzisiejszego. Ostatnio wojska Putina zdobyły ukraińską Awdiejewkę, w której byłem wiosną 2021 roku. Odwiedzałem tam kolegę walczącego w jednostce Prawego Sektora - (ugrupowania militarne i polityczne, początkowo o charakterze niesformalizowanego ruchu, a następnie od marca 2014 partii politycznej). Priorytetem tego ugrupowania była walka zbrojna z prorosyjskimi separatystami. Mój kolega walczył w oddziale „Wilków Da Vinci”. Widziałem wtedy z bliska linię frontu i całe walczące miasto, niestety dziś będące w gruzach.

Każdy, kto przed 2022 rokiem był choć trochę zainteresowany Ukrainą, wiedział, że w ciągu 6 czy 8 godzin można było dojechać pociągiem, w komfortowych warunkach, z Kijowa na linię frontu. Każdy też wiedział, że wcześniej czy później, dojdzie do wybuchu pełnowymiarowej inwazji Rosji. Z tego, co widziałem na zdjęciach, żołnierze Putina faktycznie zrównali Awdiejewkę z ziemią. I po 9 latach walk wojska ukraińskie zostały wycofane, a kombinat

koksujący węgiel został zniszczony. Nadal trwa tam ofensywa prowadzona przez armię rosyjską. Miejmy nadzieję, że nie będzie skuteczna.

Jakie były przyczyny wycofania się wojsk ukraińskich z tego miasta?

Zwycięstwo Rosjan w Awdiejewce możliwe było wyłącznie z powodu opóźnień w dostawach broni i amunicji z Zachodu. Tylko dlatego ukraińska armia nie była w stanie utrzymywać swoich pozycji.

Jaki wpływ miało wycofanie się z Awdiejewki na morale ukraińskiego społeczeństwa? Czy ludzie nadal wierzą w pełne zwycięstwo Ukrainy?

Badania socjologiczne wskazują, że Ukraińcy nadal wierzą w zwycięstwo i konieczność dalszej walki - do granic z 2013 roku. Tak nadal uważa ponad 90% badanych. Natomiast czy uda się Ukrainie praktycznie zrealizować te plany, to pokaże nam najbliższa przyszłość.

Czym innym są bowiem deklaracje w badaniach socjologicznych, a zupełnie czym innym jest trwanie w okopach przez okres dwóch lat. Poparcie społeczne i tożsamościowe na Ukrainie zmieniło się o 100% na rzecz niepodległości i prozachodniego kursu, a to jest najważniejsze.

Natomiast na pytanie: w jakich granicach Ukraina wejdzie do Unii Europejskiej i może później do NATO jest ciągle pytaniem otwartym. O tym zadecydują nie tylko politycy, ale także wojskowi. Tak więc nastroje pro ukraińskie nie zmniejszają się. Każdy to widzi i wie, że tę wojnę rozpętał Putin i że Rosja jest agresorem. I prowadząc inwazję, nie jest w stanie się zatrzymać, jeżeli nie zostanie dany jej militarny odpór. Rosja reaguje wyłącznie na siłę. Na Ukrainie wszyscy o tym wiedzą. Tak więc albo Zachód będzie wspierał Ukrainę, albo nastąpi powtórka z czasów II wojny światowej.

Ukraina mimo to nie rezygnuje z rozmów pokojowych...

Jednym z najbliższych będzie kolejne spotkanie z formułą pokojową w Szwajcarii. Spotkania te są propagowane wśród zachodnich partnerów przez prezydenta Zełenskigo. Jest to kontynuacja poprzednich spotkań - m.in. grudniowego w Rijadzie pomiędzy Ukrainą, sojusznikami z G7 i niewielką grupą krajów światowego Południa. Jego celem było zdobycie poparcia dla ukraińskich warunków podjęcia rozmów pokojowych z Rosją.

Miejmy nadzieję, że to najbliższe w Szwajcarii będzie skuteczne i doprowadzi do zwycięstwa Ukrainy.

Majowa wystawa z ubiegłego roku w Brukseli, organizowana m.in. przez Pana Fundację, poświęcona była ukraińskim dzieciom pod rosyjskimi bombardowaniami...

Wcześniej prezentowana była w parlamencie rumuńskim w Bukareszcie oraz w największym portowym mieście tego kraju - w urzędzie miasta Konstanca. Wystawa ta ukazała cierpienia ukraińskich dzieci w wyniku rosyjskiej agresji i piekło wojny na Ukrainie. Teraz będziemy ją pokazywać w Wiedniu. Wystawa była przygotowana w współpracy z Centrum Mieroszewskiego. Wszystkie prezentowane, na wspomnianych wystawach zdjęcia były udokumentowane i potwierdzone przez Prokuraturę Generalną Ukrainy. Ukazywały zabójstwa ponad 500 dzieci, które zginęły w trakcie działań wojennych prowadzonych przez Federację Rosyjską na terenie Ukrainy. Jest nawet specjalna strona: <https://childrenofwar.gov.ua>, która dokładnie pokazuje liczbę porwanych, rannych i zabitych dzieci w oparciu o urzędy ukraińskie - czyli policję i Prokuraturę Generalną. Nie możemy bowiem podawać niepotwierdzonych danych. Badania i śledztwa prowadzi na Ukrainie odpowiednie urzędy. Wszystkie badania są starannie dokumentowane, tak aby potwierdzić i ukarać wszystkich winnych popełnienia tych zbrodni. Tak było np. w Buczy, gdzie strona ukraińska wskazała konkretnych ludzi i konkretne jednostki wojskowe i wreszcie tych, którzy wydawali rozkazy.

Fundacja Centrum Politycznych Narracji i Demokracji, z którą współpracuję, chciała pokazać społeczeństwu Europy, że w XXI wieku, coś takiego jak porywanie dzieci przez obce wojska z terenów przez nie okupowanych, cofa nas do czasów średniowiecza czy Afryki z lat 60. Tak było np. z Boko Haram w Nigerii (muzułmańską organizacją zmilitaryzowaną i ekstremistyczną). Polakom to wszystko kojarzy się z czasami II wojny światowej - rabunek dzieci i germanizacja. I uważają, że to już tylko historia, która się więcej nie powtórzy. Niestety w XXI wieku Rosja dokonuje tej samej zbrodni, podobnie jak III Rzesza z inicjatywy Adolfa Hitlera i Josepha Goebbelsa. Oni także porywali dzieci i indoktrynowali je na „dobrych” Niemców. Zupełnie podobnie do tego, robią dziś Rosjanie. Tam wojsko i służby mordują niewinne dzieci bądź porywają je i „wychowują” w duchu nienawiści do swojego ukraińskiego narodu. Robi to państwo, które popełnia dziś zbrodnie uznane wcześniej za ludobójstwo. Właśnie

dlatego chcieliśmy te fakty nagłośnić i pokazać. Te wszystkie morderstwa zostały dokonane 80 lat po zakończeniu procesu norymberskiego, który jednoznacznie potępił wszystkie zbrodnie dokonywane na dzieciach. I okazuje się, że jest to nadal możliwe i że cały 140 mln naród rosyjski jest w stanie to zaakceptować...

Przejdźmy teraz do partnerskich stosunków polsko-ukraińskich?... i protestów na granicy?

To co się teraz dzieje, pokazuje nam chwiejną i niepewną politykę prowadzoną przez ostatnie 8 lat przez naszych polityków. I każda ze stron, tak polska jak i ukraińska, doskonale zdają sobie sprawę z konsekwencji swoich decyzji oraz tego, że coś takiego miało nastąpić. Uważam, że od czasów Kwaśniewskiego polska polityka wschodnia wygląda marnie. I żaden rząd ani prezydent czy żaden minister nie odniósł sukcesu na Wschodzie. Były oczywiście jakieś drobne gesty, większe albo mniejsze na miarę możliwości poszczególnych osób. Żadnego jednak przełomu nikt nie dokonał. Miejmy nadzieję, że to się wreszcie zmieni i nastąpią długo oczekiwane zmiany - tak ilościowe jak i jakościowe.

Politycy bardzo często posługują się nieodpowiedzialnym słownictwem, aby wyłącznie podgrzać atmosferę. Dam tu pewien przykład. Przed 2022 rokiem rząd PiSu mówił o uchodźcach z Ukrainy, że z Ukrainy do Polski jadą uchodźcy. A po wybuchu wojny, w maju 2022 roku, prezydent Andrzej Duda w orędziu przed ukraińskim parlamentem powiedział, że Ukraińcy nie są uchodźcami w Polsce - tylko gośćmi.

Takie słownictwo zaburza odbieranie rzeczywistości. Utylitarność tego języka - do celów politycznych, daje nam pewną percepcję rzeczywistości. To samo mamy obecnie. Najpierw speakerzy rządu PiSu mówili, że jesteśmy sługami narodu ukraińskiego i zrobimy wszystko dla zwycięstwa Ukrainy, a później nagle rząd PiSu i rząd koalicji 15 października przypomina sobie o polskich interesach i są gotowi walczyć o swój naród i wyborców, bo zbliżają się wybory. A to przeciętnemu Kowalskiemu zaciemnia rzeczywistość, bo najpierw słyszy, że wszystko poświęcimy dla zwycięstwa Ukrainy, a potem, że ważniejsze są potrzeby dnia codziennego.

A co z protestami polskich rolników na granicy?

Ukraińcy przebywający w Polsce są w pewnym sensie ambasadorami swego kraju. I wszelkie badania wskazują, że nie mają zbyt wielu negatywnych opinii o polskich rolnikach i ich walce o swoje. Dotyczy

to także produktów spożywczych eksportowanych do Ukrainy. Na Ukrainie zaś, takich podstawowych informacji ludzie nie mają. Że np. w polskiej konstytucji jest wprost wpisane, że rolnictwo w Polsce jest oparte na rodzinnych gospodarstwach. A jeżeli to jest wpisane w konstytucję, to byłoby dziwne, aby polski rząd w jakiś sposób nie wspierał i nie prowadził polityki wsparcia dla swoich rolników.

Natomiast zboże na Ukrainie jest produkowane przez duże gospodarstwa będące ogromnymi posiadłościami ziemskimi i należącymi do pojedynczych osób. Ukraińska gospodarka rolna oparta jest o system latyfundiów, właścicieli, którzy mają dobre kontakty z czynnymi politykami albo sami są politykami.

I nie oszukujmy się, także polskie produkty rolne (głównie mleczarskie) sprzedawane są w Ukrainie. I na granicznych blokadach bardziej cierpią polscy producenci zarabiający na rynku ukraińskim. I to Polacy zdecydowanie więcej towarów rolnych tam sprzedają, niż Ukraińcy w Polsce. A najważniejsze w tym wszystkim jest to, że to właśnie Ukraina chce przystąpić do Unii Europejskiej, a nie Polska.

Wszyscy pamiętajmy również o zrachowaniach śp. Andrzeja Leppera - wicepremiera w rządzie PiS i szefa „Samoobrony” wysypującego zboże oraz inne produkty rolne na drogi czy tory kolejowe. To on twierdził, że polskiemu rolnictwu zagrażać będą unijne wymagania. Mamy teraz powtórkę, tylko że w inną stronę. Niestety na Ukrainie mało kto o tym pamięta. A i w Polsce już o tym wielu zapomniało i że to polscy rolnicy byli przeciwko wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej. Najważniejsze w tym wszystkim jest to, aby nie tracić zdrowego rozsądku. Interesy państwa polskiego i ukraińskiego musimy dopasować na poziomie bilateralnym i unijnym. Obie strony muszą znaleźć kompromisowe rozwiązanie.

Trzeba więc rozmawiać i spotykać się... Niestety do ostatniego spotkania na granicy nie doszło...

Niestety... bo współczesna polityka rządu się i kieruje zasadami pijaru - czyli działaniami, które mają na celu budowanie i utrzymywanie pozytywnych i korzystnych relacji. Ważna jest również oglądalność na portalu X czy FB oraz zbieranie laików. I może właśnie dlatego, coraz mniej jest polityków, którzy dyskutują o czymś w oparciu o długofalowe strategię, interesy państwowe, ponadpaństwowe czy sojusznicze.

Moim zdaniem ten ostatni przyjazd na granicę członków rządu ukraińskiego - ze świadomością, że do spotkania ze stroną polską nie dojdzie, był ewidentną zagrywką stricte pijarową. Robiłem niedawno wywiad z panem Rafałem Meklerem - jednym z liderów rolniczych protestów. Rozmawiałem też z wiceministrem rolnictwa Michałem Kołodziejczakiem, który popiera protestujących na granicy, co moim zdaniem jest szczytem populizmu. Tak niestety wygląda dzisiejsza polityka, w której coraz więcej jest populizmu.

Uważam, że w obecnych relacjach, nasze wzajemne stosunki, winne być oparte nie tylko o wzajemne interesy i wrogość w do Rosji. Polska jest w sojuszu militarnym i gospodarczym z USA, Niemcami i Wielką Brytanią. Ukraina zaś nie jest w żadnym sojuszu z Zachodem. Zachód wspiera moralnie i militarnie Ukrainę i miejmy nadzieję, że pozostanie przy tym, aż do zwycięstwa. Chcę tu podkreślić, że Polska, mimo zmiany rządu i zmiany kierunku polityki, kontynuuje swoje wsparcie. Najważniejsze jest w tym wszystkim długotrwałość tego procesu. To powinien być raczej maraton, niż krótki dystans, o czym często zapominamy.

Wojna coraz bardziej dotyka Unię Europejską. Wiemy też, że Rosja boi się NATO i pierwsza nie zaatakuję, ale to nie oznacza, że nie musimy być przygotowani na taką ewentualność. Polska jest państwem frontowym, które najbardziej zdaje sobie z tego sprawę.

Jak widzi Pan obecne nastawienie Polaków do Ukraińców. Czy nastąpiły jakieś większe zmiany w ostatnich latach?

Na indywidualnych odczuciach trudno budować prawdziwy obraz. Mogę podać prywatne przykłady. Kiedy np. prowadziłem rozmowę telefoniczną, po ukraińsku, to przechodzień pokazywał mi fucka.

Albo moi uczniowie, odpowiadają na moje pytania ze wschodnim akcentem. Uważam, że w ten sposób trochę drażnią się ze mną. Nie uważam jednak, że takie pojedyncze przypadki decydują o powszechnych nastrojach. Mogą jedynie świadczyć o poziomie kultury poszczególnych osób. Bo w 2007 roku na Śląsku byłem pobity przez grupkę chuliganów, a mój wschodni akcent był tylko pretekstem. Dziś widać pewne zniechęcenie czy zmęczenie tematem ukraińskim, to jest przecież naturalne. I to byłoby dziwne, że po 2 latach w państwie, które wspierało, wspiera i jest państwem tuż przy granicy, działałoby się inaczej.

Czego możemy sobie życzyć, aby doprowadzić do wzajemnego pełnego zrozumienia?

Sądzę, że najważniejszym jest nie budowanie relacji na mitach historycznych albo wzajemnych stereotypach. Jesteśmy przecież w XXI wieku, a to co było 80 albo 500 lat temu nie determinuje naszej rzeczywistości. W to właśnie Putin próbuje nas wciągać do archaiki. Ukraina jest kandydatem do EU, Polska jest państwem członkowskim, a to oznacza, że może doradzić jak trzeba prowadzić rozmowy akcesyjne. Jednoznacznie, Polska jest jednym z największych, pod każdym względem, krajów EU, co oznacza, że rozszerzenie EU o Ukrainę doprowadzi w naturalny sposób do zmian wewnątrz samego sojuszu. W tym wszystkim warto nie zgubić się. EU nie jest Eldoradem tylko wspólnotą interesów i sojuszem gospodarczym, opartym o chrześcijańskie wartości - czyli kompromis nie kosztem innych, a zgodą każdej ze stron na ustępstwa i wzajemny szacunek.

Dziękuję za rozmowę.

Leszek Wątróbski

Odwiedź stronę internetową Muzeum Izba Polska

<http://www.polakkasernen.dk/pl/>

Besøg Museum Polakkasernens hjemmeside

<http://www.polakkasernen.dk>

MobilePay 69 85 44

